Nr. 13. Warszawa, dnia 16 (28) Marca 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

WYPRAWA DO SUDANU.

Podsekretarz stanu Curzon, stwierdzając d. 20 b. m. w Izbie gmin prawdziwość doniesień o zamierzonej wyprawie na południe od Wadi-Halfa, dodał, iż na powstanie tego zamiaru rządu angielskiego wpłynęły wielce wiadomości ze źródeł włoskich o pochodzie Derwiszów na Kassalę: Anglia obawiać się musi wpływu działań nieprzyjacielskich w Sudanie na sam Egipt i dlatego urządza wyprawę, aby przewidywane złe skutki od niego odwrócić. Następca margr. Salisburyego w Izbie gmin potwierdził przytem wiadomość o propozycyi uczynionej przez rząd angielski pięciu innym wielkim mocarstwom względem zaczerpnięcia z funduszów zasobowych Egiptu sumy półmiliona funtów na koszty wyprawy. Suma ta ma być podniesioną z kapitału półtrzecia miliona funtów, który administracya angielska Egiptu zaoszczędziła na dochodach państwa. Do rozporządzania tym kapitałem wystarcza zgodzenie się większości mocarstw — mówił p. Curzon — naruszenie drugiego kapitału, znacznie większego, zaoszczędzonego na długu publicznym, wymagałoby już jednomyślności — ale Anglia do kapitału tego wcale sięgać nie myśli, bo go nie potrzebuje.

Na naruszenie pierwszego z dwu wymienionych funduszów zgodziły się mocarstwa trójprzymierzowe — niewątpliwie podczas pobytu p. Gołuchowskiego w Berlinie; Rosya i Francya dotychczas przyzwolenia nie dały. P. Berthelot miał z lordem Dufferinem ostrą przeprawę, w której prawdopodobnie chodziło i o prawowitość owej *większości*, błędnie przez p. Curzona za wystarczającą uważanej. Zwyczaje dyplomatyczne bynajmniej zasady głosowania i przewagi głosów nie uświęcają. W układach, które toczono między sobą przed r. 1885 podczas regulowania długów egipskich, nie było i nie mogło być mowy o takim sposobie rozstrzygania wątpliwości i sporów. Żadne mocarstwo nie zrzekłoby się swojej indywidualności, przez poddanie się woli innych; można od współdziałania się uchylić, ale współdziałając już, według stałej dotychczasowej praktyki, nie można kłaść głowy pod topór większości. Wszelkie umowy dyplomatyczne przypuszczają jednomyślność. Tylko wyraźna litera układu o sposób rozrządzania funduszem w mowie będącym, mogłaby dać Anglii podstawę poważną do poprzestania na zgodzeniu się mocarstw trójprzymierza; gdyby zaś taką podstawę rząd angielski miał, p. Curzon d. 20 b. m. nie byłby zaniedbał z niej skorzystać. Jego milczenie jest dowodem jej nieistnienia.

P. Curzon jako przyczynę wystarczającą do usprawiedliwienia wyprawy wskazał niepokój o Egipt. Przed wystąpieniem w Izbie dzienniki angielskie, zapowiadając nowe przedsięwzięcie zbrojne, bałamuciły opinię wynurzeniami, że dawno już postanowiono ruszyć na Derwiszów; podsekretarz stanu dopiero przyznał związek zamiaru angielskiego z obecnym stanem potęgi włoskiej w Erytrei i Abisynii: prawdę owinął w pakuły słów co innego mówiących, ale prawda ze słów wyłazi. Istotnie, Włochy już od 1891 r. mają prawo liczyć na pomoc angielską, wyraźnem niezastrzeżoną przymierzem, ale z ducha wspólki kolonizacyjnej wynikającą. W maju 1894 r. zawarto konwencyę, nadającą wzajemne prawo zarządzania krainami na wyłączną własność polityczną zajętemi. Za Manciniego, jak za Depretisa nie robiono tajemnicy z tego, że Anglia zobowiązała się w interesie Włoch bronić równowagi na morzu Śródziemnem przeciwko Francyi. Później pod zobowiązanie to weszło morze Czerwone, ląd stały Massauy i nieistniejącej jeszcze wówczas Erytrei. Oba mocarstwa idą ze sobą, a raczej Włochy idą za Anglią, która je ciągnie przeciw trzecim, nie potrzebując się lękać ich samych.

Wyprawa, jeśli jej nie rozbiją Derwisze i niederwisze, kalify i emiry pustyń, z prawej i z lewej strony Nilu, żary słoneczne w siebie wsysających, dotrzeć ma do Dongoli, nie dalej. Zamiar odzyskania owych wielce żyznych ziem dongolskich — w splocie Nilu — ma być dowodem ojcowskiej troskliwości Anglików o dobrobyt Egiptu. Ale i tu jest fałsz: Anglia nie myśli o zatrzymaniu się w Dongoli, na południu puszczy Nubijskiej; jeśli jej klimat i ludzie pozwolą — wtargnie w granice państwa mahdiego, ocierające się niedaleko o Dongolę, a w przewidywaniu tem utwierdza urządzenie drugiej, posiłkowej jakoby tylko, wyprawy — z Suakimu na Berber. Po pierwszem powodzeniu oręża, zmuszającem Derwiszów do ustąpienia z całego terytoryum objętego Nilem, pomiędzy Starą Dongolą, Abu-Hamedem i Berberem — zdobycie Chartumu stanie się celem tej jakby agronomicznej tylko wyprawy po żyzne grunty. Osiągnięcie tego celu da Anglii i popieranym przez nią Włochom — korzyść ogromną.

Sudan podbije Anglia dla siebie, przez Sudan dobierze się do krainy podrównikowej. Żołnierz, awanturnik, kupiec czy kolonista z Lado, niedaleko już będą mieli nad Uelle, a stamtąd do Konga na zachód, do Ugandy na wschód. Sfera interesów angielskich nad Victoria-Nyanza i nad oceanem i zatoką Arabską, znakomicie się wzmocni, rozszerzy aż spotężnieje w o-

sobne państwo kolonialne. Włosi po upadku Derwiszów będą mogli od północy obwarować swą Erytreję ponad Kassalą, a gdyby ją w obecnym zatargu zbrojnym z Abisynią utracić mieli — sam pochód Anglików z Chartumu wystarczy do wydania jej w moc ich napowrót. Nowa wojna z Abisynią, nowe podboje wywiną się ze zdobyczy angielskiej. Marzenie Cecila Rhodesa o Anglii afrykańskiej od Delty do Przylądka przez takie usadowienie się nad górnym Białym Nilem — za pozwoleniem klimatu, rzecz prosta — pomknie znacznie w górę na skali nadziei. Pierwsze nieszczęście Francyi przerzuci prawo pierwszeństwa do nabycia Konga z Paryża do Londynu, a żądza zagarniania wszystkiego, co się da bez wojny europejskiej pochwycić, znajdzie nawet sposobność do pominięcia prawa tak wyraźnie przez Francyę nabytego. Wszystko to—może się, rozpalić z tej małej niewinnej wyprawy po żyzne grunty i tego marnego pół miliona funtów, który trzy mocarstwa pozwoliły już podnieść ze skarbu egipskiego.

Tydzień polityczny. D. 20 b. m. Izba dep. Przedl. przyjęła ostatecznie całkowity budżet. Drugi punkt programatu p. Badeniego: reforma wyborcza—d. 21 b. m. wszedł na widnokrąg obrad szczegółowych w Izbie. Komisya wybrała na sprawozdawcę Goetza. Wnioski jej są za przyjęciem. W ostatniej chwili rozgraniczono sprawiedliwiej dwa okręgi wyborcze w Czechach, i nadano Krakowu prawo bezpośrednich samoistnych wyborów w wytwarzanej obecnie kuryi piątej. Przyjęcie pewne.

Układy z Węgrami o stałe stosunki od 1897—1907 prowadzono w dalszym ciągu w Wiedniu w d. 20 do 22-go. Po świętach pojadą znowu ministrowie austryaccy do Pesztu.

Wyprawa do Dongoli w Izbie gmin 20 b. m. po mowie Chamberlaina oklaskana. Wniosek Morleya, aby ministrowi spraw zagranicznych wykreślić 100 funtów, 288 głosami przeciw 145, odrzucony. Sama wyprawa już przednią straż swoję posunęła pod Hunterem do Akaszeh. Do kwietnia ma się zebrać już wszystko wojsko. Anglików jeden batalion (pułk?), reszta Egipcyan i kilka tysięcy Arabów.

Z Francyą stosunki zamącone o tę właśnie wyprawę. Po rozmowie p. Berthelota z lordem Dufferinem d. 17 b. m. ukazała się nota, jakoby minister francuski mówił o „poważnych następstwach." W izbie d. 20 b. m zaprzeczył p. Berthelot doniesieniu temu wiarogodności. P. Curzon w Izbie gmin uważał je za prawdziwe. Dzienniki widzą w nocie manewr na korzyść podatku dochodowego. Rozprawy nad tym podatkiem zaczęły się w Izbie d. 21 b. m. Komisya zaleca odrzucenie. Pierwszy z obroną wystąpił Jaures i malował węglem straszliwą przyszłość przy nowym systemie: szczególniej wsie jękną. W poniedziałek i wtorek rozprawiano dalej.

Proces Dupasa zakończył się d. 24 b. m. uniewinnieniem.

Cesarz Wilhelm wyjechał d. 23 b. m. do Genui, gdzie stanął we wtorek. Nazajutrz miał odpłynąć do Neapolu. Pobyt tu potrwa do 10—12 kwietnia. Przed 15 p. m. ma się spotkać z królem Humbertem w Wenecyi, d. 15 stanie w Wiedniu, zabawi 2 dni, będzie na przeglądzie wojsk. Mówią, że i król Karol rumuński zjedzie do Wenecyi.

Izby włoskie odroczone do 28 kwietnia. D. 21 b. m. odbyły ostatnie posiedzenie. Rudini miał mowę, że nie myśli zrzekać się protektoratu, zawartego w samej „sferze interesów." Ricotti mówił o bohaterstwie armii. Barzilai poklócił się z Mocennim, b. m. wojny za Crispiego. Izba po rozprawach dała 140-milionowy kredyt 214 przeciw 47 głosów. Obecnych było 400.

Układy o pokój z Abisynią jeszcze nie ukończone. Menelik żąda kosztów wojennych.

Na Kubie drobne utarczki. Senat waszyngtoński stygnie w zapale: zdaje się, że ostatecznie uznania Kubańczyków nie zaleci.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Z NIZIN SPOŁECZNYCH.

Prawie jednocześnie ujawniono dwa ogniska zorganizowanego przestępstwa: na pograniczu Królestwa Polskiego i w Radomiu. W pierwszem biorą udział Żydzi wespół z włościanami, w drugiem — niemal wyłącznie Żydzi. Kronika zaś wypadków na prowincyi czasem przynosi nam wieści o zbrojnych napadach na dwory i plebanie, a śledztwo wykrywa również znaczny udział Żydów w tych przestępstwach. Wreszcie gazeciarscy protokóliści drobnych wypadków podają dość często wiadomości o kradzieżach, rozbojach, rabunkach, dokonywanych także przez zbrodniarzy tejże warstwy w Warszawie, Łodzi i innych środowiskach przemysłowo-handlowych. Biorąc mniej więcej okres dziesięcioletni, spostrzegamy z każdym niemal rokiem wzrost procentowy przestępców starozakonnych.

Jedni poszukiwacze źródła tego zjawiska widzą je w konfiguracyi kraju — wydłużonem pograniczu, inni, ślepi antysemici, — wyłącznie w zbrodniczych cechach i skłonnościach Izraela. Pogranicze niewątpliwie było jednym z czynników sprzyjających rozwojowi organizacyi opryszków; cechy antropologiczne, temperament rasowy także zapewne grają niepośledną rolę. Ale weźmy pewne ujemne cechy pierwszej lepszej narodowości, pielęgnowane przez długie łata, a niewątpliwie rozwiną się one do rozmiarów potwornych. Najzdrowszy organizm ludzki jest skłonny do przyjęcia różnego rodzaju zabójczych drobnoustrojów. Pod siłą zdrowia ogólnego giną one lub są nieszkodliwe. Pozwólmy wszakże temu organizmowi trwonić bez miary skarby energii, skaźmy go na wegetacyę, a wkrótce przekonamy się, że bakterye, błądzące w nim pojedynczo, zaczynają zakładać kolonie, opanowują słabsze części, niszczą je i ostatecznie sprowają rozkład ogólny. Społeczeństwo nasze pozwoliło już na założenie i wzrost takich kolonij. To, do czego dziś doszła bakteryologia w dziedzinie fizyologicznej, już dawno posiadaliśmy na gruncie społecznym.

NA GŁUSZCE

Akwarelka myśliwska z Polesia.

Oto już się zbliżają wielkanocne święta.
Wody zerwały zimy kryształowe pęta,
Rozlały się po łąkach, po polu, po błoni.
Przy ciepłym wietrze wschodnim fala falę goni,
Szemrzą w polu ruczaje, wał na rzece pluska,
Migotając na słońcu niby złota łuska.
W powietrzu pachnie wiosną. Nad zalanem błotem
Bocian leci i siada na gnieździe z klekotem,
Wrzaskliwa czajka jęczy i milknie w odstępach,
Unosząc się nad wodą, siadając na kępach.
Na drzewach wrony siedzą, dumając, po parze,
Czekają, czy też rychło dla nich gospodarze
Ostrzem sochy poruszą czarnej ziemi skiby.
W nocy na rzece ognie. Czatując na ryby
Płynie z jasnem łuczywem na chybkiem czółenku,
Niby Neptun z trójzębem, z długą ością w ręku
Odważny syn Polesia i ubogiej wioski.
Wart, żeby go uwiecznił pędzel Rembrantowski
W mrokach wiosennej nocy przy blasku łuczywa,
Gdy, zda się, to nie człowiek, lecz duch wodny pływa.

* *

„Niech będzie pochwalony!.." — „Na wieki!"
—„Hrehora
Pewno już panicz czekał, bo na głuszce pora?..
No!—siako-tako bokiem, skokiem i fortelem
Jesteśmy tu i panu do stópek się ścielem."
—„Dziękuję! cóż tam słychać?" — „Prosto z chaty lecę,
Ledwom-nieledwo moją opuścił fortecę,
Bo, kto miejsca nie świadom, ten, łaskawy panie,
Zje dyabła, nim do mojej chaty się dostanie.
Wielka w tym roku woda.— Pomimo powodzi
Mój Wincuś już codziennie na podsłuchy chodzi,
A wczoraj i ja za nim machnąłem na zwiady.
W Kruhlicy—nie do rzeczy, za to Czarne Lady
Dopisują w tym roku! Liczę i lik gubię:
I tu!.. i tam!.. mieć trzeba głowę, jak na śrubie,
Żeby dobrze obliczyć. Jednego z nich posłem
W deputacyi od głuszców do pana przyniosłem
Z zaproszeniem do lasu. Patrz pan, co za postać!
I waga i figura!"
—„Jak się do was dostać?"
—„Phi! phi!.. panicz się pyta!—przez wodę i błoto
Czółnem, gdzie ono przejdzie, a resztę piechotą.
Tylko pytanie — na co, toż nakładu sporo,
Brać się na moją chatę?.. Prosto na jezioro!
A stamtąd aż do miejsca pół mili najdalej."
— „Czyż przez łąki przepłyniem?" — „A najdoskonalej!"
—„Dobrzeby dzisiaj ruszyć. Tylko ty Hrehory
„Może jesteś zmęczony?"
—„Cóż to? czy ja chory!
Kiedy tak, to marsz zaraz! Las duży, dzień krótki.
Każ pan tylko mnie podać co z jadła i wódki;
Póki pan się wybierze, to ja się posilę
I spocznę. Uff!.. palnąłem dzisiaj ze trzy mile."

Słońce już się zniżyło, kiedy przez wylewy
Do Czarnych Lad nas czółno zaniosło na śpiewy.
Szliśmy po leśnych mszarach w coraz gęstsze cienie,
W coraz dziksze i prawie dziewicze przestrzenie,
Gdzie człek panem natury przed puszczy ogromem
Wcale się nie poczuwa, lecz cząstką, atomem.
Hrehory huknął głośno raz, drugi i trzeci.

Nieświadomie tworzyliśmy nietylko cieplarnie, lecz czułe termostaty, podtrzymujące na jednym poziomie temperaturę dla sztucznej hodowli drobnoustrojów—czynników rozkładowych w organizmie społeczno-ekonomicznym.

Szlachta nasza chętnie przyjęła z Zachodu wiele zwyczajów i przesądów nie dlatego, że brzaski i zmroki europejskie jej imponowały, lecz, że się odbijały na nich cienie lub światła naszego charakteru narodowego. W przelocie dużych ptaków, uciekających przed chłodem jesiennym, drobne bezsilne ptactwo kryje się pod ich skrzydła, ażeby tem łatwiej oprzeć się prądom powietrznym i zawędrować do krain ciepłych. Pod szaremi skrzydłami scholastyki przyleciało do nas sporo drobnego ptactwa przesądów, opierającego się prądom trzeźwości i rozsądku. Zwinęło ono gniazdka swoje zarówno na starych basztach zamków, jak i na strzechach skromnych zagród, z których wyglądały butne postacie, „równe wojewodzie.“ W ciało jednej takiej ptaszyny, zaaklimatyzowanej u nas, zamieniły się słowa Tomasza z Akwinu, który twierdził, że obywatele państwa — *cives* — nie powinni się zajmować kupiectwem; że handel należy zostawić obcym — *extraneis*, — aby nie *per negociationis usum cupiditas in cordibus civium traducitur*. Szlachcic tedy po za karabelą i pełnym pucharem nic nie chciał widzieć, i „chociaż w Gdańsku bezpłatna pszenica, — spijał szampany i madery sławne.“ Chłop mu orał i zasiewał darmo, były pełne spiżarnie i stodoły, o żadnych taryfach i „konjunkturach“ nikt nie myślał; ale te „konjunktury“ przez wieki wyrabiały się po cichu. Handel, pozostawiony obcym, wyżłabiał łożyska nienormalne, tworzył strumienie, potoki podziemne, nadwątlał powierzchnię stanu szlacheckiego i budował pod nim grunt dla średniego. Przygarnięty miłościwie, lud Izraela wogóle jednak zawsze był pogardzany, o ile nie składał w daninie Esterek. Znoszono go, jako „zło konieczne,“ i posługiwano się nim we wszelkich sprawach, niegodnych szlachty. Powoli więc ujął on w swe ręce rzemiosło i handel, a gdy na roli pracę bezpłatną zamieniła najemna, Żyd we dworze i na wsi stał się nierozerwalną całością grupy, tworzącej trzy stany. Zagarnął on całkowicie handel wiejski, pośrednictwo, rzemiosło (kowalstwo, ciesielstwo, mularstwo, rymarstwo itp.) i—kredyt. Stał się doradcą „wielmożnego pana.“ Szlachcic ciągnął zyski z roli, unikając hańbiącego zajęcia, chłop również z gleby wydobywał środki istnienia; Żyd uważał szlachcica i chłopa za dobry interes, źródło dochodu dla siebie. W miasteczkach i miastach także zagarnął on rzemiosła i handel i od czasu do czasu stykał się z mieszkańcami wiejskimi na kiermaszach.

Powoli zmieniły się warunki ekonomiczne. Ogromny rozwój komunikacyi, techniki i kultury oddziałał i na nasze stosunki. Żyd prędzej niż szlachcic pojął, że kraj nasz stanowi jedno ogniwo interesów wszechświatowych, które oderwane od całości zardzewiałoby i skruszyło się. Spostrzegł on przytem, że i jego byt zaczyna się chwiać silnie; więc według własnej potrzeby przedstawiał szlachcicowi układ warunków handlu na rynkach międzynarodowych i stosownie do tego dyktował ceny. Tymczasem przemysł maszynowy rozwinął się szybko i zmienił również postać warunków ogólnych. Następnie szereg przesileń dotkliwych wstrząsnął podstawami bytu ziemian, otworzył im oczy. Rozgościła się także na dobre nędza śród włościan; energiczniejszych pociągnęły ogniska przemysłu wielkiego, niedołężni, niezaradni, pozostali na wsi; szlachta zaczęła masowo bankrutować, wzbogaceni Żydzi nabywać ich majątki, a ubożsi — pożyczać pieniądze na zastaw ziemi chłopskiej. I oto społeczeństwo przyjrzało się baczniej warunkom swego bytu i przyszło do przekonania, że Żyd rozpanoszył się wszędzie, stał się przyczyną złego. Energiczni i rozsądni, zsumowawszy długoletnie błędy, zaczęli je w cichości naprawiać, wykreślili z życia dewizę, podaną przez Tomasza z Akwinu, i swojej pracy nadali charakter przemysłowo-handlowy, stworzyli tę przemianę warunków, którą zobrazowaliśmy w nr. 11 *Prawdy*. Ogół jednak społeczeństwa wywołał nagankę, rosnącą od lat kilkunastu w stosunku odwrotnym do jego niedołęstwa. „Szukaj Żyda!“ — rozległo się po kraju. I Żyd, jak lis w ostępie, zaczął kołować, zapadać i chować się w dołach i norach.

Pod wpływem opinii społecznej zrodziły się ograniczenia, których siecią opasano tłumy żydowskie. Potoki ich działalności, płynąc przedtem po powierzchni, zabierały znaczną część zysków ziemiańskich lub w najgorszym razie spłókiwały niedołężne jednostki z roli, potem zaczęły szukać łożysk podziemnych i roztaczać swą ciecz bagnistą śród społeczeństwa. Każdy żyć „potrzebuje!“ — powiedzieli ci ludzie; więc gdy nie można tak, trzeba inaczej. W znacznej części skończyła się ich rola we dworze, a zupełnie — na wsi u chłopa.

Ci więc, którzy nie zdążyli lub nie potrafili wyciągnąć ze szlachcica i chłopa żadnych kapitałów, lecz tylko mogli opędzać potrzeby codzienne, wpadli w te bagniste strugi podziemne. Źródłem środków istnienia jest dla nich i nadal szlachcic i chłop; zmieniła się tylko postać „zarobkowania.“ Żydzi nie zabierają przez pośrednictwo *części* zysków właściciela ziemskiego, lecz zagarniają *całe* przez okna

---

Słuchamy: kędyś zdala odpowiedź nam leci.
—„Tu chłopcy! to i dobrze, przyszli właśnie w porę,
Opatrzyli, to prędzej nocleg nam obiorę.“

Na niewielkim pagórku, tak zwanym ostrowie,
Czekali nas dorośli Hrehora synowie,
Młodzi, przystojni chłopcy. Zakasane poły
A, zmoczone i błotem zwalane postoły
Świadczyły o odbytej piechotą podróży.
Każdy miał strzelbę, torbę i topór nieduży
Za pasem surowcowym u boku zatknęty.

—„Pochwalony!..“—„Na wieki!..“
—„Janek i Wincenty
Niech idą razem z panem osadzić śpiewaków,
A ja się tu zawinę, pooczyszczam z krzaków
Ten pagórek na nocleg i ognia nałożę.
Już pora! zmierzch już pada—idźcie w imię Boże!“

W lesie coraz to ciemniej. Zda się w oczach rosną
Świerk olbrzymi za świerkiem i sosna za sosną,
Zda się w szarym półmroku olbrzymów postacie
Kiwają zwolna głową, popatrując na cię.
Cisza, tylko szemraniem gwarzą z sobą drzewa,
Sójka wrzasła, drozd czarny na wierzchołku śpiewa,
Dalej przez gąszcze, dalej! jak okręt bez steru,
Jak nocny ptak na łowach zdradnie i bez szmeru,
Co krok staję i słucham... Siadłem na powale...
Znam las i zbłądzić w ciemnie nie boję się wcale.
Jednak ta cisza w okół, mrok i gęste cienie
Jakieś na nerwach dziwno sprawiają wrażenie;
Wsłuchuję się—las szumi!.. Wtem, łopocząc w skrzydła
Porwał się głuszec... leci i nakształt straszydła
Wionął mi tuż nad głową, zawrócił na lewo,
Załopotał i ucichł—snać usiadł na drzewo.

Słucham i tętna serca w piersi własnej słyszę,
Tamuję oddech, który, zda się, zmącił ciszę,
I myślę o odwrocie... Zaklaskał i tony
Rozległy się śpiewania... Brawo! osadzony.
Cofałem się, krok każdy obmyślając zwolna,
Bo każda gałąź w koło zdradzić była zdolna.
Mech miękki pod stopami pomagał mi znacznie
Cofać się bez szelestu, powoli i bacznie.
Ściemniało już i gwiazdki ujrzałem pochodnię,
Kiedym się zdecydował dalej iść swobodnie.
Rozejrzawszy się w okół, wahałem się chwilę,
Czy w kierunku odwrotu czasem się nie mylę;
Lecz wnet wątpliwość znikła, kiedy od Hrehora
Doleciało mię w ciszy stukanie topora,
Niby nitka przewodnia. Jakoż wnet u góry
Na wierzchołkach zabłysła mi łuna z purpury,
Wskazując, gdzie stos płonie.
Zbliżywszy się, stałem
Czas jakiś widowiskiem ujęty wspaniałem;
Efekt światła i cieni układał się taki,
Barwiąc wokół mech, ziemię i drzewa i krzaki
I postacie przy ogniu tak pełne wyrazu,
Niby z czarodziejskiego wyjęte obrazu.

* *

—„Widziałeś kiedy w lesie dyabła, czy rusałki?“

—„A pfe!.. a tfu!.. Paniczu! poco te przechwałki?
Niby to panicz także złego się nie boi?!.
Ot może ono blizko i siedzi na choi?
Na lichoż je zwoływać?!.
...W Imię Ojca, Syna!..
My tu—w puszczy nie chacie świętej u komina!..
Hm!.. hm!.. pan książki czyta, to już sobie tuszy,
Że ta bezludna puszcza całkiem jest bez duszy?
Przepraszam!.. Ot słuchajmy!.. a mszary i drzewa
Powiedzą nam to, czego pan się nie spodziewa.
. . . .
Czy pan ten odgłos słyszał?!. Znam zwierzęta, ptaki,
A nie wiem, nie odgadnę, co za dyabeł taki!..

wybite i drzwi wysadzone. Nie wysysają chłopa za pomocą gorzałki lub pożyczek pod zastaw ziemi, lecz wciągają go do band zbójeckich i każą mu nietylko pić, ale i dźwigać przemycaną gorzałkę na plecach. Spokojnym zaś i uczciwym wyprowadzają konie ze stajen i tamują pogoń za pomocą „swoich ludzi," obsługujących przeprawy rzeczne. W mieście również dawnym zwyczajem mają stosunki z ludem wiejskim na jarmarkach, lecz zamiast sprzedawać, rabują go, oszukują ciemnych, dziecinnie naiwnych. Zasłoniwszy chłopu oczy rękoma, pytają, kto go trzyma,—i zanim ten zgadnie, już ma puste kieszenie.

Prawo zrobiło swoje. Zastosowało ono różne paragrafy do kilkudziesięciu przestępców bandy radomskiej, wytropiło także inne organizacye. Ludność tu i owdzie, przygnębiona rabunkiem, rozbojem i postrachem, odetchnęła swobodnie. Społeczeństwo jednak, podrażnione owymi wypadkami, nie poprzestaje na tem, usiłuje jeszcze samo wymierzać sprawiedliwość naciskiem swojej opinii.

Winą naszą, tudzież warunków ogólnych, nader powikłanych, jest to, że się zakradły rozkładowe, obce pierwiastki do organizmu naszego, kolce wpędzone w stopy podczas pochodu kulturalnego przez długie wieki. Kolce te wywołały zaognienie, wytworzyły szereg innych cierpień. Żydzi, których zepchnięto do roli nieodpowiedniej dla szlachcica, a nawet dla chłopa, w potrzebie życia chwytali się wszystkiego, czego się dało chwycić. Skutkiem wyjątkowości stanowiska społecznego przez długi szereg lat, stali się bardziej niż inni skłonnymi do złego. Ci, którym odwaga, spryt i los nie pozwoliły oprzeć swego bytu na silnych podstawach kapitału i zadrwić z wszelkich pocisków, ci, którzy za pomocą dwulicowości i pokory nie zajęli stanowisk godziwych i w ten sposób nie uzyskali aprobaty społecznej; którzy wreszcie przez naukę i etykę nie wkroczyli na pole działalności pożytecznej dla ogółu, ci wszyscy — a są to liczne rzesze nędzy żydowskiej — strąceni na samo dno życia społecznego, zanurzyli się w jego bagnisku.

LIBERUM VETO.

Wiosna i jej zwiastuny. — Co jest w niej najbrzydszem. — Modne damy i zmarnowana przez nie praca mężczyzn. — Rewolucya przeciw kobietom. — Zawzięte spory z niewątpliwym wynikiem. — Oświetlenie i tramwaje elektryczne i orkiestra warszawska. — Upodobania naszego kapitału i nasze zdolności organizacyjne.

Skończyliśmy wspaniały poemat p. t. *Natura* i znowu zaczynamy czytać pierwszy jego rozdział: „Wiosna." My nie mamy jeszcze prawa nazwać przyrody swoją księgą mądrości, bo jej dotychczas całkowicie nie rozumiemy, możemy tylko ją nazwać poematem, bo dopiero się nią zachwycamy. Jak wszystkie wielkie dzieła, i to nigdy nie powszednieje i nie nudzi, chociaż ciągle do niego wracamy. Człowiek, któryby wyznał, że już mu obrzydły jaskry i kaczeńce, bzy i fijołki, śpiewy słowika i skowronka, majowe deszcze, blado-zielone liście, woń świeżo zoranej ziemi, zasługuje na to jedynie, ażeby go żywcem wrzucić do kompostu. Takiemu zgniłkowi nie dałbym noża i zapałki w obawie, ażeby kogoś nie zarznął lub nie podpalił; nie powierzyłbym mu pod opiekę ślepego psa, ażeby go nie zagłodził; nie uczyniłbym go stróżem, służącym, posłańcem, nie zaufałbym mu nawet po najuroczystszej przysiędze, że nie połknie korka lub gąbki. Anegdota opowiada, że pewien żyd nie chciał jechać z chłopem, zauważywszy, iż ten nie zdjął przed krzyżem czapki. Jabym nie przejechał przez las z furmanem, który rzekłby, usłyszawszy słowika:

— To się drze, psiakość.

Ktoś mi zaręczał, że złodzieje nie lubią wiosny i lata z powodu krótkich nocy. Nie mogłem sprawdzić tego faktu, przypuszczam natomiast, że żaden z nich nie zgodziłby się na wieczną noc zimową, chociażby w niej mógł kraść do syta. I wynaturzenie się człowieka ma swoje granice, po za któremi chyba leży zupełna obojętność na wdzięki przyrody. Jeżeli zaś są ludzie, którzy tak daleko zaszli, trzeba ich wrzucić do kompostu, ale trzeba ich zarazem uznać za bardzo nieszczęśliwych.

Mamy tedy wiosnę, którą już nawet reporterowie uroczyście stwierdzili, zobaczywszy w oknach sklepów spożywczych sałatę. Wprawdzie mówią oni sobie w duchu, że jest to wiosna podła, marna, niewarta pamięci, bo nie dała im ani jednego wylewu i spuściła na rzekach lody ostrożnie, jak żyd niezaasekurowane tratwy, ale ostatecznie trudno jej nie uznać, skoro termometr pokazuje kilkanaście stopni ciepła, magistrat brukuje ulice, panie spacerują pod parasolkami, a rzodkiewki pojawiają się w najskromniejszych restauracyach. Dla rzetelnego warszawiaka i jego mistrza, ogłaszającego w *Kuryerach* pory roku, są to dowody niezbite.

Wiosna ma tylko jeden szczegół brzydki — modną kobietę. Oko cierpi zarówno zranione kolcem, jak dotknięte szpetnym widokiem. Często powtarzany w sądach estetycznych frazes—że twory rzeźby greckiej są dla nas, którzy przewyższyliśmy starożytnych pod każdym względem, wzorami „niedoścignionymi" — byłby grubą niedorzecznością, gdyby nie nasze nadobne, urocze i eleganckie „damy." Żaden Fidyasz, żaden Michał Anioł nie zdołałby wydobyć piękności z tych istot, których nie mógłby ani rozebrać, gdyż powstrzymane w rozwoju ciała są niekształtne, ani ubrać, bo są w swych strojach poczwarne. Co największy geniusz pocznie wobec tych skurczonych stóp, zeschłych łydek, przewężonych gorsetami u dołu a zapadniętych u góry torsów, lub wobec tych cudacznych kapeluszów, przybranych wiązką ptaków, tych ogromnych worków na rękach, tych spódnic lejkowatych, tych bawolich grzywek i żydowskich pejsów?

A pfe!.. a tfu!—zbredziłem! to pan winien temu!
Tfu! tfu!..
...Kto się w opiekę poda Panu swemu!.."

. . . .

Milczenie—przerywane szeptaniem pacierzy...
W samej rzeczy: z przestrzeni tysiąc głosów bieży,
A i dziesiątej części ich nie wytłumaczę.
Coś chychoce, coś skargą w mrocznej dali płacze,
Czasem ton taki rzewny, czasem ostry, dziki,
Bo też puszcza odwieczna ma swoje tajniki.
Kto wie, co w sobie kryją te dzikie przestrzenie?..
Uroczystym a groźnym głosem jest milczenie,
Gdy w ucho natężone żaden ton nie leci.
Nie zdziwi się, że w cuda uwierzył lud kmieci,
Kto raz nocował w puszczy i słyszał te gwary,
Którymi przemawiają rozległe obszary.

Tak dumałem, na miękkiej kupie rozciągnięty,
Na którą dał gałęzi świerk przez Hryszkę ścięty,
W burkę się otuliwszy.—Z wielkiego ogniska
Przyjemne ciepło idzie, tysiąc iskier błyska,
A te mżą się w powietrzu, z dymem lecąc społem,
W fantastyczne gzygzaki.—Tak marząc, zasnąłem.

Lekko śpi się na łowach...
Jeszcze całkiem ciemno,
A już Hryszko, jak upior, stanął tuż nademną.
—„Paniczu!—pora wstawać."
Chłód przejął mię nieco,
Mimo ciepłej odzieży.—Ciemno,—w górze świecą
Pomiędzy obłoczkami gwiazdki brylantowe.
Wstałem i, czapkę mocno wcisnąwszy na głowę,
Przysiadłem do ogniska.
—„Głuszca nie odstraszy,
Parę łyżek przed wyjściem przełknąć ciepłej kaszy,
A ogrzeje, to pewno... Pan pytał z wieczora,
Czy w puszczy złe czasami spotkało Hrehora.
Hm!.. Cóż na to powiedzieć?!. drwią sobie panowie
Z nas prostaków... Złe bywa i febrą się zowie;
Temu i pan nie przeczy; na nie, jako czary,
Zjeść nieco ciepłej strawy radzi Hryszka stary...
Daruj pan, mnie jednakże te wczorajsze żarty
Nie do smaku!.. niedobrze!.. Czy w puszczy są czarty?
Czy ich nie ma? ja nie wiem... Po takiej gawędzie,
Ja proszę, niech pan dzisiaj ostrożniejszy będzie...
W nocy do chaty biegał mój Wincuś z tej racyi...
Po kociołek... Pan zasnął bez ciepłej kolacyi..."

* * *

Znowu w mroki zacząłem kroczyć pomaleńku,
Tu grzęznąc, tam w zaroślach zgięty na kształt łęku,
Kierując się jedynie instynktem pamięci
I pilnie nadsłuchując, co się w puszy święci.
Już nie widać ogniska, cisza—uroczysta,
Tylko las, niby gwarząc, wierzchołki swe chysta,
Jakby podziwiał śmiałka, co się waży kroki
Posuwać w te obszary i w te gęste mroki.
Dalej i dalej—naprzód!.. Nagle mi się zdaje,
Że się coś poruszyło tuż-tuż o dwie staje.
Przysłuchuję się: obok w krzakach rzeczywiście
Gałąź trzasła i suche też szeleszczą liście,
Słyszę stąpanie... Patrzę, wsłuchuję się... drgnąłem;
I czuję, jak mi włosy powstają nad czołem—
To niedźwiedź!.. dopatrzyłem jego zarys w ciemnie;
Zbliża się i o kroków pięć stanął odemnie...
Cofam się, ważę w myśli błyskawicznym rzutem,
Czego warte dwa strzały o dwa kroki śrótem?
I skrywam się za drzewo... Nie wiem ile czasu
W mrokach, w puszczy bezludnej, wśród gęstego lasu
Stałem drżący, niepewny, okryty pomroką,
Mierząc się z królem puszczy prawie oko w oko...
Wtem za mną—nowy szelest!.. Niedźwiedź w miejsce owe,
Zkąd słychać szmer, popatrzał, odwróciwszy głowę,
I odszedł, cicho mrucząc... Jedna, druga chwilka,
I odgłos jego kroków powoli umilka...
Odetchnąłem, z opałów wyszedłszy na sucho...

Apollo nie wyzyskałby takiego modelu dla sztuki. Ile razy tedy słońce roześmieje się wiosną i tchnie ciepłymi powiewami, oczekując zmartwychwstania uroków przyrody, jednocześnie uczuwamy dreszcz na myśl o tem, co też jeszcze obrzydliwszego wynajdzie moda dla kobiet i czem one pastwić się będą nad naszemi oczami. Bo jak się ubiorą w każdym nowym „sezonie," to może być wątpliwem, ale że ubiorą się szkaradnie, to nie ulega wątpliwości. Dlatego stanowią zawsze plamę na wspaniałym płaszczu wiosny.

Mężczyźni zrobili już wiele buntów i stoczyli wiele walk, ale dotychczas nie podjęli rewolucyi bardzo potrzebnej — przeciwko kobietom. Już jeżeli one koniecznie chcą być nieukształcone, bezczynne, próżne, zamiłowane w ozdobach zewnętrznych, niechże sobie będą. Czemu wszakże te stare dzieci mają oszpecać się za pieniądze mężczyzn, którzy przecież za tę ofiarę mogą wymagać od nich gustu? Usuwam z tego pytania *ludzi* płci żeńskiej, myślących, pracujących, przyjmujących udział w trudach i postępach świata, będących jakąś cyfrą w jego poważnych rachunkach, pytam tylko te ogoniaste, bufiaste, ufryzowane i wymalowane bawidła: jeżeli one nie umieją nawet ładnie ubrać się, to czy warte są istnienia na ziemi? Mężczyznie, bogatemu i rozrzutnemu panu, podobało się znaczną część owoców swej pracy poświęcać żywej lali — taka jego fantazya; ale niechże przynajmniej ta lala da zadowolenie jego oczom, niech swą modę powierzy jakimś mistrzom dobrego smaku — malarzom, estetykom — ale nie zwyczajnym krawcom i fabrykantom, którzy jej narzucają swoje pomysły niedołężne lub waryackie. Niegdyś mówiono, że najpiękniejszym tworem natury jest kobieta, dziś powiedzieć trzeba, że najbrzydszym tworem natury jest kobieta modna. Tylko mężczyzna może i powinien przywrócić jej straconą urodę, ale tego nie zrobi, bo ona po części już i jemu smak popsuła. Gdyby on był dawnym Grekiem, mającym wrażliwe i mocne poczucie piękna, rzekłby do niej:

— Dosyć tego, mój elegancki koczkodanie! Ja nie będę pracował w biurze, kantorze, fabryce, po dziesięć godzin dziennie, nie będę wyczerpywał swoich sił, rujnował zdrowia, ażebyś ty mogła robić z siebie czupiradło. Jeżeli pragniesz mieć parę wron lub wieżę z wstążek na głowie, zamiatać kurz z ulic dwoma łokciami tkaniny jedwabnej lub wełnianej, udawać tiurniurą Hotentotki z naroślami tylnemi, to na tę przyjemność zarób sobie sama.

Och, jakże prędko moda nauczyłaby się artyzmu! Niestety, on jej tego nie powie, gdyż albo pod jej wpływem przytępił w sobie zmysł piękna, albo, znużony daremną walką, tak zobojętniał na wybryki „baby," że nie zaprotestowałby, gdyby ona w swych uszach zamiast kolczyków zawiesiła ogonkami dwie myszy, a na głowę wsadziła konewkę.

Zaiste, rzecz dziwna! Zdawałoby się, że kobieta, która tak długo nie uczestniczyła w rozwoju cywilizacyi i stanowiła w niej pierwiastek bierny, powinna piastować ideały piękna, że skazana na to, aby się ubierać, stworzy wysoki artyzm stroju. Tymczasem — nie. Po dwudziestu kilku wiekach rozmyślań i starań w tym kierunku, o ile nie korzysta z męskich wzorów rzeźby i malarstwa, robi z siebie straszydło. Unika cudactw tylko zwyczajna chłopka i robotnica lub kobieta ukształcona do miary pełnego człowieka. Dwa te krańce przedstawiają też największą wartość społeczną.

Nie każdemu zapewne wiadomo, że modne panie są zapamiętałemi przeciwniczkami światła elektrycznego, które podobno jest im „nie do twarzy." Jakkolwiek płeć brzydka liczy się wielce z tem wymaganiem pięknej i dobrze wychowany mężczyzna powinien zgodzić się na to, że 2 razy 2 jest 2000, jeżeli to przypada do twarzy eleganckiej damie, jednakże na tym punkcie będziemy musieli być niegrzeczni. Obecnie toczy się spór o to: czy oświetlenie i tramwaje elektryczne mają być połączone w jednej stacyi i w jednem przedsiębiorstwie, czy też w dwu? Mojem zdaniem, jest to dysputa scholastyczna, czyli mielenie słów na plewy: bo tak, czy owak, w każdym razie oba te interesy dostaną się w ręce kapitalistów zagranicznych, a czy na nich zarabiać będzie tylko towarzystwo belgijskie, czy też belgijskie i holenderskie lub niemieckie, to dla nas jest obojętnem. Nieobojętnymi są jedynie dochody kasy miejskiej i wydatki spożywców — ogółu. Jeżeli Menelik abisyński da magistratowi korzystne warunki, a publiczności — tanie światło i tanią jazdę tramwajową, głosuję za Menelikiem, który nawet byłby dla mnie sympatyczniejszym, niż jezuici belgijscy, obdzierający nas zapomocą kolei konnej. A może ktoś przypuszcza, że zawsze mądre po niewczasie kapitały krajowe chwycą się elektryczności? Przy każdem nowem przedsięwzięciu ekonomiczno-finansowem rodzi się u nas z popiołów ta sama legenda, która widuje gruszki na wierzbie, a która zapewnia, że nasi milionerzy „tym razem" nie pozwolą sobie wydrzeć dobrego kęsa. Wkrótce jednakże okazuje się, że pozwolą, gdyż: 1) ród starych Steinkellerów, Leopoldów Kronenbergów itp., ludzi śmiałych, pomysłowych, energicznych, wygasł bezpotomnie i 2) nasz kapitał ciągle jeszcze marzy o procentach lichwiarskich. Dla niego otrzymywać 5 lub 7% z interesu, to „faules Geschäft"; dopiero od 10 zaczyna się „odrzucanie przyzwoite." Ponieważ zaś oświetlenie i tramwaje elektryczne — to nie szynk lub lombard prywatny, którego wysokie zyski są pewne, więc nasz kapitał „potrzebuje się namyśleć," tj. „potrzebuje się schować."

W tenże sam sposób należałoby uciszyć wrzawę, dotyczącą orkiestry warszawskiej. Od lat niepamiętnych przyjeżdżali do nas: Bilse, Laube, Straus, Meyder i wielu innych, którzy uczyli nas poglądowo, że stała i liczna orkiestra opłaca się i że ją, przynajmniej przez lato, my utrzymać możemy. Bilse nawet usiłował nam to wytłomaczyć tak przekonywającym argumentem, jak zbudowanie sobie w Prusach okazałej willi, którą nazwał „Warszawa" na pamiątkę dochodu z koncertów w Dolinie Szwajcarskiej. My, pojętni uczniowie tych mistrzów, przypatrzywszy się dowodom ich powodzenia, zaczęliśmy przed 20 laty „pogłębiać" kwestyę: czy u nas opłacałaby się stała orkiestra miejscowa — i „pogłębiamy" dotąd. Znowu bezpotrzebnie, bo tę sprawę już dawno rozstrzygnęli za nas Niemcy, którzy wiedzą: 1) że w mieście europejskiem, liczą-

---

Czas jakiś jeszcze pilnie nadstawiałem ucho
W stronę, zkąd drugi szelest dolatał mię w ciemnie,
Siląc się zgadnąć, co tam?.. Silę się daremnie,
Nic ciszy nie zmąciło przez czas dosyć długi;
Ruszam więc znowu naprzód, a już pierwsze smugi
Na ciemnem niebie rannej zabłysły jutrzenki.
Jeszcze wśród puszczy głucho, lecz tam-ówdzie dźwięki
Witają pierwsze snopy ożywczych promieni.
Rozejrzałem się, hasła czekając z przestrzeni,
Nie zbłądziłem... Coś klaszcze; tak klaskają głuszce.
Śpiewa!.. wyraźnie śpiewa!.. Jakby po poduszce,
Po miękkim mchu bez szmeru, robiąc po dwa kroki,
Zbliżałem się ostrożnie, kierując me skoki
W stronę zkąd śpiew dolata, w trwodze i pośpiechu
Hamując nawet odgłos mojego oddechu.
W chwili, gdy śpiew dolata, skoczę, oddech schwycę
I zamieram w tej pozie...
Na wielkiej osice,
Wznosząc dziób w czasie śpiewu, który słucha puszcza,
Siedzi wspaniały głuszec i skrzydła opuszcza,
Ogon swój roztaczając, jak wachlarz ogromny,
Cały hymnem miłośnym przejęty, niepomny.

Serce mi silnie biło, gdy wśród przeszkód wielu,
Zbliżałem się nareszcie na wystrzał do celu...
Już czas!—Zmierzyłem: wionął dymu obłok siny,
Strzał huknął, ptak się zachwiał i runął z osiny.
—„W cale niezle!.. na miejscu!"
—„Ty tu?!"
—„Na wypadek...
A co?.. nastraszył pana przed chwilą niedźwiadek?
A to dobrze!.. Ja słucham, coś tam jeszcze chodzi,
A pfe! myślę, mnie także podbiedz nie zaszkodzi;
I do rzeczy wypadło, mógł podrapać skórę,
Choć ja po drodze kulę zapędziłem w rurę
I siekiera za pasem... Bieda z tym paniczem!..
Pilnuj go, jakby dziecko!"
—„Nie wiedząc o niczem,
A słysząc twoje kroki, co też to być może,
Myślałem, a nuż drugi!"
—„Chowaj Panie Boże!
Tylko, że z tamtej strony zanadto już blizko
Pali się rozłożone na nocleg ognisko,
Ztamtąd nie mógł być niedźwiedź... Ot panu nauka,
Niech nocą w puszczy dyablów przeklętych nie szuka!"
Słychać daleki wystrzał...
—„To pewno Wincenty!..
Ot i nasłał niedźwiedzia!"
—„Kto?"
—„Juźci przeklęty...
Cicho, paniczu, cicho!.. o!.. o!.. słyszę zlewa
Głuszec, doprawdy głuszec, najwyraźniej śpiewa.
Skaczmy!"
Daremne były tym razem pochopy,
Spłoszyła głuszca gałąź, chrusnąwszy z pod stopy,
Gdy byliśmy już blizko.
—„Tfu! pan skończył szkoły,
A na głuszce tak chodzi, jakby na dzięcioły!
Tuż mech, jakby kobierzec, on w łomy się ciśnie,
Jeszcze gdzie gorsze miejsca, pcha się tam umyślnie,
Trzebaż patrzeć pod nogi!"
Usłyszawszy burę,
Rzekłem wymówkę: „Prawda!.. lecz patrzałem w górę,
Chcąc dojrzeć, gdzie on siedzi."
—„I właśnie na licho.
Wypatrzeć będzie czasu, byle skraść się cicho.
Głuszce to nie drozdziki!.. Na dziś z nimi kwita,
Już zaczęły zlatywać, bo już dobrze świta."

Jan Niesłuchowski.

cem przeszło pół miliona mieszkańców, dobra orkiestra przy umiejętnem kierownictwie. może bardzo łatwo znaleźć podstawę bytu i 2) jakikolwiek będzie rezultat gadaniny dziennikarskiej w tym przedmiocie, Polacy takiego ciała nie stworzą, gdyż pomiędzy nimi więcej jest geniuszów, niż ludzi zdolnych związać się w trwałą organizacyę. To przechodzi ich siły. Gdyby się dało złożyć orkiestrę z 3 osób, może po kilku latach usiłowań zlepilibyśmy ją; ale 30, 50, 60! Nie, to niepodobna. Trzeba wezwać na pomoc inne nacye, między któremi rodzą się sudrasi, gotowi zająć pośledniе miejsca przy bębnach, cymbałach i kontrabasach, podczas gdy my wszyscy zgodzilibyśmy się grać na pierwszych skrzypcach — i to nie razem, ażeby każdy słyszany był osobno.

Poseł Prawdy.

FILOZOFIA W MADRYCIE.

Hiszpania nietylko u Francuzów uchodzi za kraj zacofany: sami Hiszpanie na każdym kroku o-skarżają się na swój upadek, na niemoc umysłową i polityczną. Naprózno Menender y Pelayo w dwóch tomach dzieła swego „La Ciencia Espanola“ usiłował dowieść nagromadzeniem danych bibliograficznych i cytat, że nauka w Hiszpanii zawsze kwitła i kwitnie. naprózno statystyka nam wykazuje, że uniwersytet madrycki, liczący przeszło 5.000 słuchaczy, jest jednym z największych na świecie. Wystarczy rozejrzeć się w bibliotekach madryckich, aby się przekonać, jak dalece tu nikt nie zna najznakomitszych dzieł stulecia bieżącego, wystarczy przejrzeć spisy profesorów uniwersytetu madryckiego i innych, aby spostrzedz brak zupełny znakomitości naukowych pierwszorzędnych wśród tych, co kierują nauczaniem młodzieży hiszpańskiej. Mile nam przypomina galicyjskie stosunki dziwna okoliczność, że do grona profesorów należą ludzie znani przedewszystkiem ze swej działalności politycznej, jak Castelar, Azcarate itd. Katedra uniwersytecka nie stanowi tu istotnego powołania, tylko albo urząd, albo szczebel do karyery politycznej, albo ozdobienie nazwiska tytułem profesora. Niskie wynagrodzenie wyższej pracy pedagogicznej (profesor zaczyna od 1,000 rs.) zmusza tych, co się jej poświęcają, do ubiegania się o inny zarobek. Brak środków na książki i pracownie uniemożebnia prawie samodzielne badania, a ogromną liczbę studentów stanowią ci, co tylko zapisują się na kursy w celu zdawania egzaminów i otrzymania dyplomów, bez zamiaru uczęszczania na wykłady i kształcenia się.

Rażącą ilustracyę takiego stanu rzeczy stanowi nauczanie filozofii. Według powszechnego mniemania, ta dziedzina nauk niema zastosowania do praktycznych celów życia. a im gdzie więcej praktyczne materyalne cele przeważają nad teoretycznymi, tem mniej zajęcia wzbudzi teorya teoryi czyli logika, teorya istoty teoretyka czyli psychologia. To też nauki te wcale nie są wykładane w uniwersytecie madryckim. Natomiast istnieją dwie katedry filozofii, z których jedna dla prawników, druga zaś dla nielicznej garstki studentów, pragnących wykształcenia ogólnego. Pierwszą zajmuje wyznawca filozofii świętego Tomasza. Orti y Lara — który przynajmniej oddaje się swemu przedmiotowi wyłącznie — drugą zaś głośny polityk, mówca, adwokat, Mikołaj Salmeron, który więcej ma spraw cywilnych do obronienia, niż słuchaczy do pouczenia, częściej przewodniczy na zebraniach politycznych, niż uczęszcza na swe własne wykłady. Pragnąc go poznać, napisałem doń zapytując się kiedy mógłbym go zastać w domu. Otrzymałem odpowiedź uprzejmą i udałem się do mieszkania, położonego w najpiękniejszej dzielnicy Madrytu. Znalazłem tam bióro czynnego adwokata, dającego rozkazy swoim dependentom. Z początku myślałem, że podobieństwo nazwiska spowodowało jakąś pomyłkę i że nie mogę tam zastać jedynego przedstawiciela filozofii niezależnej uniwersytetu madryckiego. Ale służący zapewnił mię, że Don Nicolas Salmeron jest istotnie tym samym, co wykłada filozofię w uniwersytecie, i zaprowadził mię do wielkiego salonu, w którym, pomimo, że przybyłem punktualnie o godzinie listownie mi wyznaczonej, czekać musiałem na gościnnego gospodarza całe pół godziny. Nareszcie znakomity adwokat uchylił drzwi sąsiadującej z salonem pracowni, i uprzejmie wezwał mię do siebie, zapowiadając, że czas ma bardzo ograniczony, gdyż tegoż dnia jeszcze czeka nań wiele spraw pilnych. Powiedział mi, że filozofię zaczął uprawiać samodzielnie wtedy, gdy za przekonania polityczne był skazany na wygnanie. Wtedy to w Paryżu uczęszczał na wykłady przyrodnicze, unikając wszelkiej znajomości z takimi ludźmi. jak Janet, Caro itp., którzy wykładali filozofię, gdyż chciał wyrobić sobie swe własne przekonania niezależnie od ubocznych wpływów. Przekonania te, przeciwległe filozofii, wyznawanej przez kolegę Orti y Lara, polegają głównie na przeświadczeniu o donosłości wpływów fizyologicznych na myśl ludzką: naturalnie, że tak zajęty człowiek nie znajduje czasu na poznawanie bieżącej literatury filozoficznej i nie zna np. dzieł Ueberwega, ani Lotzego. Ale za to odznacza się wymową i pewnością siebie. Po kilkunastu minutach służący wszedł, oznajmiając, że kilkunastu interesantów przyszło dla porozumienia się w bardzo pilnej sprawie, a ja musiałem pożegnać pana Salmerona, ubolewając nad tem, że czas jego tak bardzo zajęty nie pozwala mu na dłuższe rozmowy o filozofii.

W. Lutosławski.

BADANIA NAUKOWE.

IDEA A CZŁOWIEK.

II.

Doświadczenia, przedsiębrane w ostatnich czasach przez fizyologów, dowiodły w sposób niezbity, że w pewnych warunkach idea ujarzmia „ciało“ i nagina je do swoich zamiarów i celów. W obecnej chwili, gdy rozporządzamy obfitym zasobem faktów, świadczących o podatności natury ludzkiej w stanie uśpienia hypnotycznego, nie można powątpiewać dłużej o takiej wszechwładzy pobudki duchowej. Poszukiwania, datujące się oddawna, lecz ugruntowane dopiero przez Braid'a (1843), odsłoniły przed nami niespodziewane tajniki ducha, bo wykazały, że ciało jest, w pewnych granicach, posłusznem narzędziem idei. Hypnotyzm rzucił zgoła nowe światło na ukryte sprężyny psychiki ludzkiej.

Bernheim, pogrążywszy dorosłego mężczyznę w stan hypnotyczny, mówi do niego: „Masz lat sześć, jesteś dzieckiem, idź się bawić!“ Uśpiony zachowuje się jak dziecko, skacze, dokazuje. Powiada mu: „Jesteś dziewczyną!“ Mężczyzna spuszcza skromnie oczy i zaczyna niby szyć. Na myśl, że jest generałem, staje na czele nieistniejącej armii i komenderuje. Poddają mu, że jest księdzem — żegna się i nadaje twarzy swojej wyraz pobożny; że jest psem — staje na cztery łapy i szczeka. Słowem, osoba, którą uśpiliśmy, jest posłuszna każdej poddanej idei i odpowiednio do jej treści zmienia swoją postawę i fizyognomię, gwałcąc bez litości własne swoje przyzwyczajenia.

Ale wpływy suggestyi, podsuniętej w uśpieniu hypnotycznem, idą o wiele dalej, bo rozciągają się aż do tych czynności naszego organizmu, które, zdawałoby się, są zupełnie wyjęte z pod oddziaływania naszej świadomości i woli, jak funkcye organów trawienia, lub krążenia krwi.

„Mówię pani E. — pisze dr. Beaunis — że po ocknięciu będzie miała czerwoną plamkę w tym punkcie ciała, który wskazuję... W dziesięć minut po obudzeniu występuje czerwoność, a zarysowawszy się dostatecznie, znika po kwadransie.“ Ktoś inny usypia tę samą osobę i podczas snu przykleja na jej lewem ramieniu pięć zwyczajnych marek pocztowych, wmawiając, że przykłada wizykatoryę. Pokrywa on je płatkami płótna i bandażuje mocno. Po zdjęciu bandaży okazuje się, że skóra pożółkła na przestrzeni 4—5 centymetrów i podstawała, potworzyły się bąble i naokoło wystąpił czerwony, nabrzmiały pasek, szerokości pół-centymetrowej. Tego samego dnia, wieczorem, zaczął się wysięk. Albo jeszcze jeden fakt, przewybornie uwydatniający oddziaływanie idei na system krwionośny. Pewien lekarz nakreślił swoje nazwisko na ramieniu chorego i zapowiedział, że zaśnie o pewnej godzinie i wtedy krew wystąpi na miejscu, gdzie wypisał swoje nazwisko. Chory zasypia i litery wyraźnie zarysowują się na ramieniu, nasiąknięte krwią. Jeszcze po kwartale przekrwienie było widoczne.

Ze szczebla na szczebel, dochodzimy jeszcze do głębszego oddziaływania. Są to fakty usuwania pewnych chorób czynnościowych, tj. takich, w których stan niemocy nie jest rezultatem zmian organicznych. Poddawanie okazało się skutecznym środkiem na pewne głuchoty, ślepoty, paraliże, nawet rany.

A zatem idea, podsunięta podczas uśpienia hypnotycznego, wywiera wpływ na wszystkie czynności życia, duchowe i fizyczne, bo zmienia charakter osoby i jej poglądy, oddziaływa na postępowanie, wzmacnia instynkty dodatnie lub rzuca ziarno demoralizacyi, przyspiesza puls i reguluje krążenie krwi, podnieca żywotność organizmu, względnie ją osłabia, może uzdrowić kogoś lub, użyta przez człowieka złej woli, doprowadzić do upadku fizycznego i nawet śmierci. Skutki takie nie ograniczają się do tego krótkiego przeciągu czasu, gdy ktoś został ubezwładniony przez usypiacza i musi słuchać rozkazów jego. Nie! Pewne wpływy nie ustają po ocknięciu się, zwłaszcza jeżeli hypnotyzujący nakazał uśpionemu, iż ma on nadal postępować według udzielonych wskazówek. Już w liczbie powyżej przytoczonych faktów spostrzegamy świadczące o trwaniu skutków po za okresem uśpienia. Osoba wróciła pozornie do swego zwykłego stanu, lecz idea pozostała w mózgu i za pośrednictwem nieznanych nam sprężyn działa na ciało: krwawe znamiona nie schodzą z ramienia w ciągu kwartału, po marce pocztowej pozostaje ślad i wywołuje wysięk. Suggestya sprawia takie same rezultaty w zakresie właściwości moralnych, o które nam głównie i nawet jedynie chodzi, gdyż są one bodźcami, względnie regulatorami czynów społecznych. Dotychczasowa praktyka hypnotyczna obfituje w wypadki zadziwiające, pozwalające mniemać, że czyjś charakter może uledz radykalnej zmianie pod wpływem podszeptów otoczenia. Przynajmniej przekształca się on skutkiem poddania. Lekarze wykorzeniają pociąg do pijaństwa, zmniejszają wrodzoną kłamliwość, usuwają lenistwo. Dr. Beaunis zahypnotyzował malca, odznaczającego się niechęcią do

nauki i w takim stanie poddał mu myśl skrupulatnego przygotowywania się do szkoły. Chłopiec w ciągu paru miesięcy pracował sumiennie, lecz z biegiem czasu odezwał się dawny nałóg. Postanowiono uśpić go powtórnie; nauczony doświadczeniem, oparł się! Nie dziw, że pedagodzy, którym chodzi nie o wyrobienie rzutkości umysłu i świadomej szlachetności, ale tylko pilnego i posłusznego manekina, zachęceni podobnymi wzorami, zaczęli roztrząsać sprawę stosowania suggestyi hypnotycznej do wychowania...

Nasze codzienne życie duchowe, w którem przejmujemy się sympatyami, kształcimy swoje przekonania i ćwiczymy uczucia i instynkty, nie jest bezwładnością hypnotyczną. Mechanizm tego, jak myśl pewna trafia do naszego mózgu, jest odmienny wtedy, bo zamiast uśpienia duchowego świadomość tętni w naszem jestestwie. Ale idea, która przedostanie się do naszej jaźni i będzie przez nią przyjęta, zwłaszcza, jeśli się wpije w naszą istotę i przykuje do siebie nasze uczucia, oddziaływa tak samo, jak podsunięta podczas snu hypnotycznego. Moglibyśmy przytoczyć wiele dowodów na to, że działa ona tak samo nawet w zakresie funkcyj czysto fizycznych. „Wiara uzdrawia i tworzy cuda!“ Wyrażenie to, które często zdarza się słyszeć w potocznej rozmowie, jest oparte na doświadczeniu wielu pokoleń. Nawet najpierwotniejsza praktyka lekarska zdaje sobie jasną sprawę z takiego znaczenia wiary. „Wiara pacyenta — pisze Mooney*) o lecznictwie czeroków, sporo przyczynia się do uzdrowienia. Ceremonie i obrzędy są obliczone na spotęgowanie ufności. Umysł chorego niewątpliwie wywiera wpływ dodatni na ciało!“ Jeszcze jaskrawiej rzucają się w oczy skutki upadku ducha, bo nietylko paraliżują żywotność, lecz nawet przyspieszają minutę śmierci. Na archipelagu Hervey, „jeśli któryś z tubylców znieważy czarodzieja, ten dorabia nowe ogniwo do swego łańcucha. Przez zawieszony pierścień chwyta duszę krzywdziciela. Przyjaciele winowajcy starają się przejednać wróżbitę podarunkami i wybłagać oswobodzenie duszy. Skoro to się nie uda, pozbawiony duszy wpada w obłąkanie**).“ Albo inny przykład z bytu Australczyków. „Duch ukazał się pewnej kobiecie we śnie, — opowiada Bonwick — i zawiadomił ją o rychłej śmierci. Znękana opowiedziała o tem nazajutrz. Po dwu dniach już nie żyła***).“ Przykładów nie mnożymy, lubo etnografia, oraz historya naszej własnej kultury, dostarczyłyby nam bardzo wiele dowodów wymownych.

Żywot nasz, jakeśmy rzekli, polega na nieustannem przyswajaniu nowych pojęć. Nie o każdej porze dni swoich poddajemy się jednako oddziaływaniu ze strony otoczenia, ale bądź co bądź nigdy nie jesteśmy zabezpieczeni przeciw bałwanom, które zewsząd uderzają o nasze jestestwo duchowe i żłobią w niem nowe wyłomy. Niewiadomo, w jakiej chwili dopłynie do naszej świadomości pewna idea. Niejedna skrada się niby niecny zdrajca, wybiera okres upadku ducha i swoim jadem zatruwa na długo naszą żywotność i energię; natomiast inna, przyszedłszy w odpowiednim czasie, może powstrzymać nas od zniechęcenia i zagrzać do dalszych wysiłków. Przelotnie rzucony paradoks, wypowiedziany tylko dla zrobienia efektu wśród gawiedzi, może, jak ogień strzechę ze słomy, objąć czyjąś duszę i spalić ją. Niema poglądów obojętnych, bo niewiadomo jakie szkody lub skutki dodatnie może w czyjejś jaźni zrządzić żart najbłahszy. Na razie jest dla nas rzeczą małej wagi, w jaki sposób powstały i w jakim stosunku stoją ideje do potrzeb członków pewnego społeczeństwa. Chodzi nam tylko o wykazanie tego, że myśl pewna lub pobudka, gdy się dostanie do mózgu czyjegoś, przeinacza się z oderwanego na realny czynnik życia gromadnego. W takiej postaci staje się ona potęgą materyalną, bo zamienia człowieka na narzędzie pewnych prądów, szkodliwych lub pożytecznych, zdrowych lub chorobliwych. Nawet najbierniejszy okaz, powziąwszy pewne sympatye lub antypatye, przestaje być zerem dotychczasowem (którem zresztą nikt nie jest w społeczeństwie, bo obok zer znajdują się tam zawsze jedynki — chodzi więc tylko o to, czy będzie on zerem, dorzucanem do cyfry dodatniej lub ujemnej). Staje się on szeregowcem pewnego prądu, nacierającego, lub też szańcem, opierającym się jego wylewowi. Z tych rozproszonych posterunków tworzą się wojska społeczne: kościoły, sekty, partye lub też, pod wpływem pewnych idei, szeregi już istniejące zniechęcają się, rozpadają i dezorganizują. W takiej armii ci, których idea zupełnie oślepiła i z ich jaźni wyrugowała wszystkie inne potrzeby, stanowią straż przednią, nacierającą; inni, tylko sympatyzujący, są jądrem szeregów, za którymi ciągną jeszcze ciury. Zwłaszcza jeśli myśl wypowiedziana jest sformułowaniem interesów i widnokręgów pewnej grupy społecznej, odgrywa wtedy doniosłą rolę w rozwoju stosunków społecznych: dążenia, dotychczas żywiołowo i instynktowo odczuwane, zamienia na programy świadome, odruchowe bełkotanie — na mowę członkowaną. Myśl owa staje się hasłem, gromadzącem szeregi i prowadzącem je do boju. Co do swojej treści, może być wązka, nawet samolubnie klasowa, lecz szeregowiec, którego jaźnią owładnęła, wyrzeka się interesów osobistych, gotów jest do wszelkich ofiar na rzecz tego, co ukochał, i śmiało idzie w ogień. O entuzyazmie takiego wojska, o głębokim wpływie idej na charakter ludzki świadczy niemal każda żywsza stronica dziejów. Żywoty świętych, to księga, której każdy wiersz niemal opowiada nam o znaczeniu i sile pobudki idejowej: nawróceni rozpustnicy udają się na pustynię umartwiać swoje ciało i zmieniają się na ascetów, obojętni na losy bliźnich stają się aniołami-stróżami cierpiących, lekkoduchy giną jako bohaterzy podczas prześladowań, zniewieściali wygodnisie rozpoczynają żywot, pełen troski i mozołów. Idea to, z najrozmaitszych żywiołów, organizuje te olbrzymie zastępy, co z rozkoszą i męztwem w ciągu wieków przyjmują wieniec cierniowy męczeństwa lub wyrzekając się dostatków i wygód, puszczają się do nieznanych krajów głosić swoją wiarę.

Hypnotyzm, słowem, wykazuje nam w sposób namacalny, do czego dochodzi wszechwładza idei nad jaźnią człowieka, i tłomaczy poświęcenia i ofiary, które widzimy w ciągu dziejów. Nie znaczy to, ażeby działacze, porwani siłą pewnego hasła, byli zahypnotyzowani. Nie! Ale mechanizm stosunku ducha do ciała pozostaje zawsze ten sam, mniejsza, czy przyjęliśmy ideę krytycznie, poddawszy należytemu rozbiorowi na chłodno, lub ulegliśmy bezwładnie.

Musimy jeszcze zastanowić się nad tem, czy pochód idei w społeczeństwie, tj. jej rozpowszechnianie, odbywa się z jednakową szybkością we wszystkich epokach rozwoju dziejowego. Naturalnie usuwamy z pod rozpatrzenia warunki zewnętrzne, nie tkwiące w jaźni ludzkiej, takie, jak łatwość komunikacyi i wymiany myśli, i mamy na uwadze jedynie stronę duchową. Nadto będziemy rozważali ten przebieg w oderwaniu od społecznej treści idej, tj. nie uwzględnimy tego, że pewne hasła są sformułowaniem potrzeb tych warstw, wśród których się szerzą. Zagadnienie oświetlamy jedynie ze stanowiska psychologicznego, mianowicie chodzić nam będzie o podatność natury ludzkiej na pewną pobudkę w różnych okresach historyi.

L. Krzywicki.

---

*) *Sacred formules of the Cherokees* (Annual report of the Ethnografical Bureau. 1885—86, str. 323).

**) *Archiv fur Anthropologie* VII. str. 154.

***) Bonwick. *The wild white man and the blacks of Victoria*, str. 55, wyd. II.

LITERATURA I SZTUKA.

NASZA UMYSŁOWOŚĆ SPÓŁCZESNA.

III.

Czarnowski pisze, iż słowiańszczyzna jest dziś potęgą, z którą Europa cała liczy się poważnie, a przed którą drżą nawet zjednoczone Niemcy... Ziemie, należące do narodów słowiańskich, zajmują olbrzymią przestrzeń globu, od Alp do oceanu Spokojnego, od Bałkanów po ocean Północny. Ludność słowiańska rozległych tych krain, w okrągłych cyfrach liczy: Wielko- Mało- i Białorusów 75 milionów, Bułgarów $3\frac{1}{2}$ mil., Serbów z Chorwatami $6\frac{1}{4}$ mil., Czechów z Morawianami i Łużycanami 5 mil., Słowaków $2\frac{1}{2}$ mil., Słoweńców 1 mil., Polaków z Kaszubami 15 mil. Wśród prasy przodujących narodów indo-europejskich (łatyńskich i germańskich), dziennikarstwo słowiańskie zajmuje ilościowo *trzecie* miejsce — ze względu, że czwartego nie ma wcale, ale nieustannie i szybko się rozwija (ilościowo), mianowicie w ostatnich czasach... Znaczenie i doniosłość na tym oceanie słowiańskim dziennikarstwa polskiego, praca Czarnowskiego maluje z przerażającą wiernością, szczególnie w egzemplarzach, przeznaczonych dla naszego handlu księgarskiego. Dowiadujemy się z niej mianowicie (str. 94—107), że w okresie od 1890 do 1894 istniało na ogół czasopism w języku polskim około 270, z których do 120 politycznych i społeczno-literackich, najrozmaitszej osnowy, przeważnie jednak zajętych „ogromnem mnóstwem powieści, romansów i nowel,“ oraz nowiniarstwem. Popularyzujących wiedzę wszelką dla osób dorosłych mieliśmy 30, rolniczych 33, przyrodoznawczych 3, lekarskich i weterynaryjnych 15, prawnych 7, handlowych 6, przemysłowych 9, pedagogicznych 5, dla ludu 5, dla dziatwy 5, bibliograficznych 2, specyalnie beletrystycznych (nowele, powieści, romanse) 5, religijnych 12, etnograficzno-historycznych 3, satyryczno-humorystycznych 15... Czegóż chcieć więcej? Jeżeli Płoszowski na widok odsłoniętych biustów i balowych strojów pań naszych powiadał, że „my nie potrzebujemy udawać Europy, bo nią rzeczywiście jesteśmy,“ to już wobec cyfr powyższych, końcowych zwłaszcza, śmiało przyznać sobie możemy, żeśmy chyba Europą w kwadracie...

A wewnętrzna wartość tego materyału statystycznego?

Z natury swojej, ze swojego powołania prasa jest i być musi niceo za powierzchowną, a zarazem wielce zmienną i cokolwiek za błyskotliwą, za „czarodziejską.“ Czasy, w których powstała i kraje, w których się wychowała, tłomaczą ją z tego i usprawiedliwiają. Ujmy i niedogodności stąd płynące wyrównywało i zacierało zawsze życie — gdzie ono było — w tych jego ustrojach stalszych i głębszych, których wyrazem: szkoła, sądownictwo, stowarzyszenia zawodowe, trybuna, katedra, przedewszystkiem zaś zasobna, doświadczona, wielostronnie rozgałęziona praktyka zarobkowa. Na jakiekolwiek przestworza wśród tych całokształtów rozlewały się bystre potoki wydawnictw peryodycz-

nych, jakiekolwiek na wartkich i rozbieżnych ich nurtach unosiły się drzazgi, śmiecia, szumowiny i gałganki, zataczało się to najregularniej dokoła mocno osadzonych wysp i wysepek urządzeń publicznych i prywatnych, gromadząc przy nich, na mocy powinowactw naturalnych, osad wszędzie odpowiedni, jednorodny, który użyźniał pobrzeża podmyte i ogołocone a odświeżał zatoki opuszczone i stęchłe.

Wiekuiści naśladowcy cudzych cech, dymków, pyłków i mydlanek, myśmy od bardzo dawna skroili obecną szatę swojego dziennikarstwa, swojej stoustnej przewodniczki, na modłę zachodnią. I czy było o czem do gadania po europejsku, czy nie było o niczem—gadaliśmy. W uwieńczonej r. 1893 przez krakowską Akademię umiejętności broszurze p. Mieczysława Offmańskiego p. t. „Monitor, czasopismo polskie z XVIII wieku,“ czytamy: „Żadne z wychodzących przed *Monitorem* pism nie uważało za stosowne rozwijać swych tendencyj, swego wyznania wiary, bo żadne z nich nie miało swojej duszy, swojego *ja*, swojego sądu; były to tylko kroniki,—notujące bez żadnego dźwięku krytyki—wypadki miejscowe i zamiejscowe, były to, jakby dziś można powiedzieć, klisze fotograficzne, odbijające wrażenia, bez wchodzenia w to, jakie są one“ (s. 6). Pozostały te klisze podziśdzień — dobre i niezbędne w jednych sytuacyach, złe, zbyteczne i wstrętne w drugich. A gdy świeżo *Kuryer warszawski* święcił 75-letnią swą siwiznę, było to najzupełniej trafne i godne stwierdzenie chybionej i niegodziwej w r. 1821 programatólogii założyciela tej „kuryerkowszczyzny,“ nazwanego niedawno „jednym z najcelniejszych“ publicystów polskich: „Nie mieszać się nigdy do nauki, nie udzielać nigdzie zdania swego, ale tylko o to starać się, aby umieszczać jak najwięcej nowości i pisywać zdarzenia prosto, bez żadnego spostrzeżenia...“

Zatkać mózg pusty szmatką pseudojezuteckiej, zbękarciałej prozy, to nie sztuka, to łatwiej, niż wystrzelić z brzozowego kija prochem armatnim... Widywano u nas takie majstersztyki od zapomnianych czasów. Prasa nasza zdobyła się niedawno na coś nieskończenie groźniejszego jeszcze — i pocieszniejszego zarazem. Historya nie długa. Kiedy po nocy burz i gromów nastały chwile naprawy, rozmyślań i opamiętania, a rozpamiętywaniom owocnym nikt zawad nie stawiał, zabraliśmy się natychmiast do.. zabaw ochoczych. Nie było pisma, któreby się nazywało poważniej: „Zabawy przyjemne,“ „Zabawy pożyteczne,“ „Zabawy obywatelskie,„ „Zabawki wierszem,“ „Zabawki prozą,“ „Izydy kąpielowe,“ „Sylwany myśliwskie,“ „Flory salonowe...“ To są prababki dzisiejszych sportów wodnych i lądowych, konnych, pieszych i ręcznych. Za zabawę się płaci. Więc kiedy nie było już czem płacić, na widnokręgu naszego czasopiśmiennictwa zjawiły się magazyny. Mieliśmy „Magazyn sztuki,“ „Magazyn nauki,“ „Magazyny nowości starych,“ „Magazyny starożytności nowych“ — bez końca. To były wszystko wnuczęta najdawniejszej z polskich publikacyj filozoficznych: sławnej *Polnische Bibliothek* z 1784—88 — najpunktualniejszej, najwiarogodniejszej realizacyi tego, co niemcy mianują „polnische Wirtschaft...“

Obecnie — bardzo być może, że z tego spadku uroniliśmy jakiś drobiazg erudycyjny, maskaradowy lub tandeciarski. Bardzo być może, że dzisiejsza nasza Żelazna Brama spoziera na mniej jaskrawe i mniejsze nieco łaty na grzbietach przechodniów, że Luwr nadsekwański rozporządza w końcu roku znacznie szczuplejszym zasobem futeralików na szpilki, że Pinakoteka monachijska bez porównania taniej płaci miesięcznie za wodę do spłókiwania farbek z palet, niźli dziennikarstwo nasze łoży kwartalnie na podniesienie i uświetnienie swych rubryk, opracowań i sprawozdań umiejętnych ze wszystkich pięter i dziedzińców wiedzy—z *revue bleue*, *revue rose*, *revue biblique*, *revue cyclique*, *revue des deux mondes*, *revue des revues*. Za to z wszelką pewnością twierdzić wolno, że niema na świecie takiego muzeum figur woskowych, któreby żywiej pociągało swą zagadkowością — co też tam z tych budek jutro wyskoczy: cztery kochanki Napoleona I, czy jeden buldog Bismarcka, Fichte i Kant bez mózgu, czy wiek oświaty w kurtce łajdackiej, lilijka z legendą gminną w ustach, czy bekas zabity na polowaniu w szlązkich lasach Wilhelma II...

W swem „Czarnoksięztwie“ p. Matuszewski zapewnia, że żadna tego rodzaju niespodzianka nie jest możliwą za dni naszych z medyumizmem, że dochodzenie w sprawie genezy i tytułów nowej doktryny odbędzie się według wszelkich reguł procedury scientyficznej, że powszechnie obowiązujące tryby krytyczne i metodologiczne najskrupulatniej zachowane zostaną, co zaś więcej, że złożone musi być świadectwo „poprzednika,“ jako „następca“ w rzeczy samej jest usynowiony... O ile medyumizm—pisze p. M.—byłby prądem prawdziwie żywotnym, „nie może on być czemś wyjątkowem, niezwykłem, anormalnem; przeciwnie, powinien jasno i wyraźnie zamanifestować się jako epilog przeszłości... jako naturalny i zdolny do korzystania z odziedziczonych bogactw sukcesor swego poprzednika“ (str. 20).

Optymizm, zaiste, do pozazdroszczenia! Bo najpierw owa rękojmia poprzednika (pozytywizmu) sama dotąd w zwierciadle świadomości naszej zbiorowej wymaga rękojmi. I ona jest jeszcze dla nas „niewiadomą (y) tak samo z naszych zrównań naukowo-społecznych dotychczas nie wyeliminowaną, jak i *Z* medyumistyczne, do którego eliminacyi ma być powołana. Przyjmowany lub odrzucany na wiarę, na słowo powag, pozytywizm, ma za sobą i przeciwko sobie to wszystko, co autor wypowiedział o „prawdziwej wiedzy,“ że propaganda jej, „głoszona po pismach, broszurach i książkach lżejszego pokroju, była nie dziełem samoistnych badaczów, lecz partacką robotą ich epigonów i pasorzytów, płytkich a krewkich doktrynerów i wrzaskliwych popularyzatorów“ (28)... Jakże się teraz w tych trzęsawiskach obrócić? Czy może odwołać się do *x* w zrównaniu pierwszego stopnia (romantyzm) i od niego zażądać formuły rozwiązania zagadnień o dwu, trzech i wielu „niewiadomych“?.. Wyszłoby to na szukanie łokciem czwartego wymiaru.

Powtóre, o jakiej metodologii, o jakiej krytyce mówi nam autor? Od którego sąsiada chciałby mierniczych tych narzędzi pożyczyć i na czyich zagonach pragnąłby je ustawić? Z natchnienia przecież rzeczy takie nie przychodzą. Nie można też ich—równie jak zacnego domowego obyczaju lub rozumu publicznego, kupić za granicą... „Mamy ludzi rozległej wiedzy“—powiada autor. Bezwątpienia, z tym jednakże przypiskiem, że tam gdzie chodzi o zaszczepienie ogółowi pewnego przeświadczenia teoretycznego (a właśnie znajdujemy się w tym wypadku) certyfikat czterdziestu mędrców mniej waży od delikatnej, głodem wycieńczonej tkanki krtaniowej czterech najętych anonsowników, wyśpiewujących fijołkowo-wonne, makasarom konserwującym namaszczone zalety fejletonów p. Jeske-Choińskiego, skierowanych przeciwko cywilizacyi i „niezdrowemu“ tegoczesnemu rozsądkowi...

Cóż tedy? Dla uchronienia się od czartowskich figlów i belzebubowych psikusów przy doświadczeniach z piłką medyumizmu, wrócimy chyba do rzetelnie naukowych poszukiwań w katalogu pp. Gebethnera i Wolffa?

Wróćmy. *J. Tokarzewicz* (*Hodi*).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Wznowienie *Żydów* Korzeniowskiego. — Dług spłacony *Królewiczowi* Lubowskiego.

Jedną z najrozumniejszych i najmilszych sztuk dramatycznych swojskiego dorobku wznowił—nie pierwszy i, sądzę, nie ostatni raz — teatr Rozmaitości d. 9 marca. „Żydów“ swoich napisał Korzeniowski przeszło już pół wieku temu. Wiele od tego czasu zmieniło się w świecie, w ludziach i w umysłach, ale niewiele utraciła sztuka ze swej głębi i powabu, a nawet żywotności. Tę względną niespożytość swoją zawdzięczają „Żydzi, nietylko wewnętrznym swym zaletom, głównie przejrzystości rysunku i wdziękowi dyalogu, nietylko odwadze swego autora, ale i pewnej jeszcze „aktualności“ tematu, stawiającego Semitów wobec czystej krwi Aryów, klasę wrzekomo zawsze wyzyskującą wobec wrzekomo zawsze wyzyskiwanej. Samo jedynie zestawienie czy starcie jeszcze Korzeniowskiemu nie wystarczyło. Odważył się on nazwą „Żydów“ objąć i nie-Żydów, a pojęcie wyzyskiwania z ciasnoty jednej klasy rozpostrzeć na inne. Zawsze w „Żydach“ widziałem takie satyryczne ostrze, godzące się z pogodą, umiarkowaniem, pewnym nawet chłodem naszego klasyko-romantyka. Nowe przyjrzenie się sztuce utrwaliło mniemanie wiele lat temu powzięte. Dzisiejszych haseł anti- i filo-semityzmu w „Żydach“ nie słychać: to też dla umysłów grubych, o małej skali myślenia, o rozmachu do bujnego, coraz delikatniejsze, bardziej złożone prawdy wydającego, różniczkowania się niezdolnych—narysowanie przeciwieństw i sprowadzenie ich do harmonii w „Żydach“ nie będzie nawet postawieniem kwestyi; dla wyrobionych przecież i zdolniejszych będzie już i jej rozwiązaniem. Moralność nie mieszka już gotowa w krwi aryjskiej, a żydowstwo, jako pewien kierunek działania i pewna właściwość skutków—w żyłach rodowitego Aryi również dobrze krążyć może, jak i w żyłach Semity. Straszniejszą od złego jest obłuda, udająca dobro, lub pokrywająca złem cudzem zło własne. Nie szumną kwestyę żydów ze stanowiska potrzeb społecznych, ale tę skromną kwestyę obłudy Korzeniowski postawił i zdaje mi się, rozwiązał; zadawalając i rozsądek, i uczucie, które człowiekowi pozwala przez siebie i w sobie odczuwać innych, t. zw. bliźnich swoich.

Kto pamięta Żółkowskiego w Aronie Levym, ten p. Leszczyńskiemu może dać tylko zachętę do należytego wystudyowania roli; ale i przy najlepszem, jakże silnie jeszcze będzie się czuło różnicę, oddzielającą wielki talent sceniczny od wybitnego na — dzisiejszej scenie warszawskiej! Praca jednak jest zawsze dla człowieka dobrym aniołem: studya, wykazujące znamiona coraz delikatniejsze, coraz głębiej ukryte, pozwolą wyrobić styl roli, a styl to cała sztuka, jeśli się od sztuki, jak od aktorskiej, nie wymaga— i wymagać nie może — myśli, życia, świata własnego.

Nie mogłem widzieć „Królewicza“ wtedy, gdy był jeszcze świeżym; zobaczyłem go dopiero w przeszłym tygodniu. Właściwie świeżości wówczas nie był on jeszcze utracił, bo miał pełną salę. W długim moim zawodzie arystarchowym, ilekroć szedłem do teatru jako krytyk, uważałem się zawsze tylko za atom, za jedną drobinę publiczności; tak poszedłem i teraz — poszedłem raz i drugi i oddawałem

się z całą niepokalaną naiwnością drobiny w moc wrażeń, które mnie czekały. Widziałem salę pełną; ale w sobie czułem duszę pustą. Dym wielkich pochwał, składanych przez krytykę, która na pierwsze już przedstawienie przybyła z właściwemi sobie narzędziami wrażliwości i sądu, może mi wzrok jasny przysłonił; ale powiem szczerze i autorowi i czytelnikowi *Prawdy*, że mnie sztuka Lubowskiego nawet nie zajęła tak, jak tego pragnąłem, ciesząc się wszystkiem, coby nasze życie i mienie umysłowe trwale zasilić mogło. Ten Filip, królewicz (p. Wolski), wypieszczony przez matkę, wydał mi się figurą ubogą, a tylko jego bogactwo mogło temat królewiczowstwa wysnuć plastycznie, owinąć naokoło dusz słuchaczy, uwięzić je w sobie, pobudzić wrażliwość i dać jej rzeczywiście nowe, nowością silne wzruszenia. Charakter Filipa jest bardzo pospolitym, a jego natura niczem nie pociąga; ale za to prawdziwie już odpychającą ma siłę ów królewicz, gdy w swym pesymizmie, w swem zniechęceniu się do życia, oświadcza się o rękę, tj. o złoto bankierówny (p. Czaki). Jego nawrócenie się w akcie IV, choć nie tak karkołomne, jak grajbnerowskiego Fredzia — jest przecież skokiem w ciemność, nie usprawiedliwia się ani logicznie, ani artystycznie, a ma jeszcze na sobie wielką skazę wszelkiego wytwórstwa, banalność. Przebłyskuje w Filipie coś z lepszej jakiejś natury w akcie I i II; ale tak słabo, że nawet zerwanie z Henryką (p. Marcello), któreby głębszemu i szczerszemu pesymiście dało pole do popisania się z właściwą takim rozbitkom etyką — w Filipie sprawia wrażenie kroku niegodziwego, jakiegoś dobierania się manowcami pod owego właśnie złotego cielca. Pogorsza jeszcze to wrażenie sama baronówna przez upomnienie się w akcie III o zwrot jakiegoś przedmiotu, czy przedmiotów, które ojcu jej miło będzie oglądać napowrót u siebie. Sienkiewicz zaczął wytwarzać modę bohaterów z chorobą woli; Lubowski za tą modą poszedł: chciał nam ukazać istotę chorą; ukazał tylko miejskiego łobuza, nie zniechęconego życiem, światem, istnieniem, ale znudzonego używaniem. I to również był temat do wyrobienia — tylko należało go wyrobić. Zbłądziwszy w samym pomyśle charakteru, Lubowski przez zbytnie oddanie się swemu Filipowi, który nie wart był tego — skrzywdził inne swoje postacie. Sztuka w takich warunkach dostatecznie już rozwinąć się i psychologicznie ożywić nie zdołała.

Ojciec Filipa, fabrykant Martin (p. Leszczyński), ma rys prawości wybitny; ale całkiem nie dramatyczne zadzierzgnięcie węzła w akcie III pozwoliło mu się rozmazgaić jako człowiekowi ze zdrową duszą — a przytem i jako producentowi, znającemu wartość sił produkcyjnych, — z uszczerbkiem dla ojcowskiego serca, które nie tak, jak w Martinie, drżeć powinno o dziecko i nie tak poddawać się pod konieczność, gdyby ten ojciec, niemal błogosławiący możliwego zabójcę syna, miał być istotnie dzielnym człowiekiem. Krucki, charakter zamknięty, duszący się w sobie, z woli zaś autora wyzywający osobiście na pojedynek, byłby lepszym, gdyby osobiście rzucił się na uwodziciela żony—a może tylko wspólnika uwodzicielki. Zresztą oboje małżonkowie są szczersi, prawdziwsi od innych — ale za mało ich oboje widać w sztuce; Henrykę z II-go już aktu Lubowski bezpowrotnie usuwa, a Kruckiemu nie daje rzetelnego dramatyzmu. Koziołkiewicz (p. Frekiel) i Rupniewicz (p. Wojdałowicz), dwa błazny ssące Filipa, jeszcze bardziej małość jego uwydatniając, przyczyniają się do ożywienia akcyi—ale z zewnątrz. Matka królewicza (p. Rakiewiczowa) jest postacią tak nikłą, że aż siostra (p. Barszczewska) niewłaściwie wyręczać ją musi w ostrzeganiu syna i rozprawie na ostre z baronówną. Sztukę grano dobrze; p. Wolski mógł się podobać jako Filip.

Stanisław Krzemiński.

ODCZYTY.

Aleksander Kraushar, *Krytyka literacka i zarys jej rozwoju w literaturze polskiej.* — Stanisław Bełza, *Na dalekiej północy.* — Edmund Jankowski. *Rośliny mięsożerne.*

Okres postny przeznaczono na 3-cią grupę odczytów dla zwiększenia funduszów Towarzystwa osad rolnych. O ile poprzednie, urządzane przez komitet damski i wygłoszone na rzecz Towarzystwa dobroczynności w skromnej salce Muzeum przemysłu i rolnictwa, prasa codzienna zbywała zwięzłą zapowiedzią, o tyle obecne cieszą się ogromną reklamą: na kilka dni przed wystąpieniem prelegenta odzywa się codzień pobudka ze szpalt gazet, a w przeddzień wykładu czytelnicy mają nawet życiorys mówcy. Nie będziemy się bawić w domysły, co tak rozentuzyazmowało reporterów: czy odnowiona sala ratuszowa, czy osady rolne, czy wreszcie imiona prelegentów, którzy mogli liczyć na powodzenie z tych lub innych względów.

Kto zapomniał lub nie czytał wcale dziejów literatury powszechnej i naszej, ten wysłuchał z pożytkiem dla siebie parę jej rozdziałów z ust p. Kraushara; kto nie czytał najpierw odcinka w piśmie tygodniowem, a potem książki p. Bełzy p. t. „Z kraju tysiąca jezior,“ ten mógł wysłuchać jej streszczenia z mównicy; kto zaś nie poszedł na odczyt i nie miał w ręku tej książki o 233 str., a czytał o niej tylko dwuwierszowe wzmianki w *Kuryerach*, ten obok sylwetki autora mógł w tych samych pismach znaleźć sążniste sprawozdania z prelekcyi, obejmującej pobieżne streszczenie tej książki,—artykuły tak szerokie, jakich nie doczekało się u nas w prasie brukowej żadne dzieło naukowe, w które włożono ogrom wiedzy i długie lata pracy. Każdy wreszcie miłośnik przyrody mógł przyjemnie i pożytecznie spędzić godzinę na zajmującym wykładzie p. Jankowskiego.

P. Kraushar objął temat tak szeroki, że oczywiście nawet w dwu prelekcyach nie mógł go wyczerpać. Zacząwszy więc charakterystykę powszechną aż od Pisistrata, poświęciwszy następnie zbyt dużo miejsca i czasu rozwojowi krytyki literackiej we Francyi, musiał z konieczności traktować bardzo pośpiesznie i pobieżnie tę dziedzinę ruchu umysłowego w naszej literaturze, zwłaszcza z bardzo ożywionej doby przed ćwierćwiekiem. Wogóle prelegent podniósł znaczenie i rolę krytyki z zakresu poezyi, sztuki i powieści do nadzwyczajnych wyżyn, nazwał ją piastunką ideałów ludzkości. Słusznie p. K. twierdzi, że krytyka jest sztuką bardzo trudną, że uprawiać ją mogą ludzie wyjątkowo utalentowani w tej mierze, rozporządzający znacznym zasobem wiedzy, nieskazitelni w bezstronności. Inni — tylko szkodę ogółowi i literaturze przynoszą, gdyż ich bazgraniny sprawozdawcze przystępniejsze są dla publiczności, niż same książki. Ale ponieważ u nas trzeba pierwszych szukać nietylko ze świecą, lecz nawet latarką elektryczną, a drugich można namacać na każdym kroku nawet po ciemku, więc ta piastunka ideałów ludzkości musi pozostać na wyżynach podniebnych, niedoścignionych dla szarego tłumu sprawozdawców literackich. O ile wnosić można, prelegent miał w programie bardzo szeroki zakres, obejmujący przedewszystkiem krytykę naukową. Nie można się dziwić, iż w takiej formie, jakiej wymaga odczyt publiczny, znacznie zwęził naszkicowane ramy i nadał najwybitniejsze znaczenie krytyce literackiej, która, powiedzmy szczerze, w takim stanie, w jakim jest obecnie u nas, nie zasługuje na osobne studya i nie będzie w przyszłości dokumentem, charakteryzującym ruch umysłowy doby dzisiejszej. Wyobraźmy sobie, że nasi autorowie to słupy wielkanocne na polu Mokotowskiem, a ich krytycy, to bohaterowie, wspinający się po wytartą szmatę uwagi, ofiarowanej przez uczestników tego widowiska; po stary cylinder lub butelkę wina owocowego z najmarniejszej winotłoczni. W braku sił:— nauki i prawdziwych zdolności, smarują oni sobie dłonie i stopy kredą, ażeby łatwiej wspiąć się po owym słupie i zdobyć fanty. Wracając do prelekcyi, dodajmy, jako szczegół charakterystyczny, że p. Kraushar złożył hołd uznania Stanisławowi Tarnowskiemu.

P. Bełza rozwinął przed słuchaczami obraz Finlandyi, kraju, o którym większość ogółu oświeconego wie tylko trochę z geografii, bo nie pojedzie tam nigdy żaden pędziwiatr, żaden „młody utalentowany poeta,“ opisujący Wenecyę, Neapol, Alpy, Ren lub Dunaj, setki razy już przez innych opisane, dzielący się skwapliwie z czytelnikami smakiem kawy i piwa, słowami gondoliera albo kwiaciarki. W tym kraju tysiąca jezior nie ma także żadnych „kurortów,“ gdzie się można przyjrzeć modzie europejskiej i zabawić nieźle. Tam słońce świeci ukośnie i krwawo; tam „dzień chory“ oblewa ponure krajobrazy i twarze ubogiej, posępnej ludności. To też zapewne niewielu zadośćuczyni życzeniom p. Bełzy: Aby chociaż część tych naszych próżniaków, którzy utartymi szlakami podążają rok rocznie na zachód, skierowała się na tę odległą północ, po naukę, jak w warunkach z natury ciężkich i trudnych można żyć i pracować, szczepiąc z powodzeniem ziarna dobrobytu i oświaty na niewdzięcznej, skalistej glebie, zmrożonej podmuchem wiatrów podbiegunowych i ściętej lodem przez większą część roku.

P. Jankowski przedstawił skrawek przyrody — grupę roślin mięsożernych i zachęcił słuchaczów do obejrzenia niektórych ciekawych gatunków na naszych ubogich gruntach mazowieckich. Prelegentowi trzeba przyznać podwójną zasługę: w swoich pogadankach i odczytach nietylko zapoznaje on publiczność z lekceważoną i zaniedbaną przez nie dziedziną nauk przyrodniczych, ale jeszcze usilnie stara się zbliżyć mieszkańców miasta do natury, wskazuje im drogi, jakiemi mogą dotrzeć do tego świata bogatego i pełnego tajemnic, który zwykle podczas majówek pokrywa się kawałkami szkła, papieru i pudełek od cukierków. Wiara p. J. w skuteczność misyi jest bardzo wielka i gorąca, jeżeli zważymy, że większość mieszkańców nietylko nie potrafi znaleźć tłustoszów mięsożernych, lecz nawet odróżnić kłosów jęczmienia od pszenicy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

UPROSZCZENIE KOMUNIKACYI.

Badając ciągle jeden z najważniejszych czynników postępu cywilizacyjnego i kulturalnego—komunikacyę, spostrzegamy coraz nowe udoskonalenia, mające na celu z jednej strony ułatwienie stosunków handlowych dla wszelkich najdrobniejszych ognisk, z drugiej — oszczędzenie kosztów i czasu ogółowi podróżnych. Czy ta myśl przewodnia

jest świadoma, czy wypływa przypadkowo z poczucia interesu przedsiębiorstw kolejowych, w to wnikać nie będziemy. Dość, że uproszczenia te stają się coraz wyraźniejsze z rozrostem sieci kolejowej. Dotychczas Warszawa posiada trzy pierwszorzędne połączenia z głównemi miastami Cesarstwa, z tych jedno bezpośrednie z Petersburgiem, dwa zaś z Odesą, Kijowem i Moskwą—przy pomocy paru linij, mianowicie wspólnej do Brześcia kolei Terespolskiej, a dalej — Południ.-Zachodniej na południe i Moskiewskiej na wschód. W Brześciu odbywa się przeładowywanie towarów w obu kierunkach, a przesiadanie pasażerów na pociągi pośpieszne tylko w jednym, gdyż do Moskwy idą wagony bezpośrednio z Warszawy; z chwilą zaś, gdy droga Moskiewsko-Brzeska przejdzie na własność skarbu, stanie się ona, wraz z Terespolską jedną linią, a więc i wszelkie uproszczenia tranrportowe wejdą w życie. Co do Odesy i Kijowa, w niedalekiej przyszłości i tutaj będą znaczne udogodnienia.

Nowa linia od przystanku Kamienica pod Dubnem do Krzemieńca stanie się bardzo ważną z chwilą, gdy będzie przedłużona na południe do Wołoczysk albo Płoskirowa, tudzież na północ do Łucka. Tym sposobem między Warszawą a Odesą utworzy się najkrótsza linia przez Kowel, Łuck, Krzemieniec, Wołoczyska i Żmierzynkę, z pominięciem drogi dalszej przez Rowno i Koziatyn. Następnie jest przypuszczenie, że droga Krzemieniecka z Łucka skieruje się przez Włodzimierz Wołyński do Chełma, a wtedy odległość między Odesą a Warszawą jeszcze bardziej się skróci. Zbyt wielkie wygięcie drugiej głównej linii kolei Południowo-Zachodniej, między Brześciem a Kijowem, i tutaj przedłuża odległość, która również będzie skrócona w przyszłości. Przez niziny i lasy wołyńskie ma być wybudowana kolej wprost z Kowla do Kijowa. Część jej już istnieje od Kowla do Dąbrowicy, stacyi gałęzi Wileńsko-Rowieńskiej kolei Poleskich. Z Dąbrowicy zaś pójdzie przez Zwiahel (Nowogród Wołyński) i Radomyśl do Kijowa. Linia ta skróci zatem odległość między Warszawą a Kijowem przeszło o 200 wiorst i zbliży do nas inne ważne punkty, jak Charków, Taganrog, Rostów nad Donem. Wreszcie nowa sieć drobnych kolei, budowanych na północnej części Królestwa Polskiego tudzież w gub. Grodzieńskiej i Kowieńskiej, skróci komunikacyę między Warszawą a Rygą. Już wytknięta linia kolei wązkotorowej ma połączyć miasteczko Głębokie — przez Święciany, Uciany, Onikszty, Traszkuny, Surdegi, Poniewież, Pompiany, Poswól, Sałaty, Bowsk — z Rygą. Tym sposobem przy pomocy części kolei Warszawsko-Petersburskiej droga do Rygi znacznie się wyprostuje i skróci z pominięciem Wilna i Dźwińska. Miasteczko Głębokie stanie się punktem węzłowym, gdyż oprócz powyższego kierunku, jest zamiar połączenia tej miejscowości z Dzisną i dalej z Orszą, stacyą kolei Moskiewsko-Brzeskiej. Ponieważ w wymienionych komunikacyach są obok linij szerokotorowych, wązkotorówki, więc na razie nie można się spodziewać jednolitości a nawet znacznej taniości przewozu i jazdy pasażerskiej na tych drogach uproszczonych. Przez pewien czas będą one odgrywać rolę kolei pomocniczych, miejscowych, dla obsługiwania tylko pewnych przestrzeni, jako przedsiębiorstwa prywatne. Z czasem jednak, gdy wejdą w skład sieci ogólnej, nabiorą wielkiego znaczenia w zakresie przemysłowo-handlowym dla dużych ognisk, położonych na krańcach państwa.

Oprócz powyższych, w niedalekiej przyszłości ma przyjść do skutku wielka i pierwszorzędna linia kolejowa, łącząca bezpośrednio Kijów z Petersburgiem. Kierunek jej będzie możliwie najprostszy, a więc spodziewać się należy, iż przejdzie ona przez Homel, gdzie przetnie koleje Libawsko-Romeńską i Poleską, Mohylów nad Dnieprem (miasto gubernialne, dotąd pozbawione komunikacyi kolejowej), Szkłów, Orszę, w której przetnie drogę Moskiewsko-Brzeską, a dalej w Witebsku — Rysko-Orłowską; następnie przez Wielkie Łuki dojdzie do Starej Rusy, skąd już prowadzi linia gotowa, chociaż wązkotorówka:—Nowogrodzka przez Nowogród do Czudowa, a stamtąd do Petersburga część drogi Mikołajowskiej. Jeżeli nowe towarzystwo nie zechce się posługiwać obecnie istniejącemi drogami, a tembardziej niedogodnym wąskim torem, w takim razie linia od Starej Rusy będzie jeszcze prostsza. Tym sposobem droga z Petersburga do Kijowa i Odesy skróci się o paręset wiorst i kilkanaście godzin jazdy.

Jesteśmy więc w przededniu tych wielkich udogodnień, jakie są niezbędne dla szerokich obszarów państwa. Przynieść one mogą znaczne zyski przesiębiorstwom komunikacyjnym, gdyż ożywią ekonomicznie ospałe i oderwane dotąd od świata szerokie obszary, a jednocześnie rozszerzą masom ludności pola pracy i wreszcie dadzą znaczne oszczędności w dostawach towarowych i przejazdach pasażerskich.

R.

Praca nocna. Prawo z r. 1882 i 1835, biorące w obronę pracownice fabryczne, po latach kilku już zmieniło warunki, ale w sposób nieprzewidywany i niepożądany. Oto jak one wyglądają według spostrzeżeń *Nowosti*: „Prawa te — mówi gazeta — zabraniające używania kobiet i wyrostków do pracy nocnej, stworzyły istotne ułatwienia tylko tam, gdzie praca niewieścia jest konieczną. W papierniach np. wprowadzono dla tej kategoryi 9-godzinny dzień roboczy.“ Inaczej atoli stosunki się ułożyły w fabrykach tkackich, tj. tam, gdzie praca tego rodzaju nie jest konieczną. Z małymi wyjątkami podział jej między mężczyzną a kobietą urządzono wedle trybu następującego: od godz. 4 rano do 10 przed południem zajęte są kobiety, od 10-ej do 4-ej — po południu mężczyźni; od 4-ej do 10-ej wieczorem — znowu kobiety i wreszcie od godziny 10-ej wieczorem do 4-ej rano mężczyźni. Najcięższa praca przypada na robotnice. Na to, ażeby kobieta mogła się wziąć do roboty o 4-ej zrana, musi wstać najpóźniej o godz. 3-ej po północy. Poczem odpoczywać ma od 10-ej z rana do 4-ej po południu. W praktyce — jak zaznaczają *Nowosti* — jest zupełnie inaczej, gdyż te właśnie godziny wypoczynku robotnica poświęca gospodarstwu domowemu i częstokroć bardzo licznej rodzinie. Od 4-ej po południu, zmęczona pracą w domu, znowu musi być w fabryce, a opuszczając ją o 10-ej wieczorem, nie może iść spać wcześniej, niż o 11-ej, czyli na istotny wypoczynek ma zaledwie 4 i pół godziny w ciągu doby, bo o 3-ej już wstaje. „Ta kobieta-męczennica — powiada pismo — nigdzie nie zasługuje na takie współczucie, jak właśnie w fabrykach. Warunki te muszą wpływać bardzo niekorzystnie na życie rodzinne robotników, zarówno pod względem materyalnym, jak i moralnym. Przez cały tydzień mąż widuje się z żoną tylko w drzwiach fabryki, gdzie się mijają, idąc do pracy. Członkowie rodziny jadać muszą osobno, co oczywiście podnosi koszt utrzymania, a w końcu odosobnienie małżonków niesłychanie potęguje zepsucie.“ Autor tych uwag całkiem słusznie żąda zmiany, tembardziej, że późniejsze uzupełnienia przepisów, chociaż zmniejszyły nieco długość pracy kobiet, to znowu zwiększyły znacznie wysiłek nocny mężczyzn. Tu prawodawca, wprowadzając rzecz zupełnie nową, nie przewidywał tak dalece ujemnych rezultatów; przeciwnie — był przygotowany na dobre. Doświadczenie wydało inne owoce, a jednocześnie sferom właściwym przysporzyło wskazówek z praktyki, które niewątpliwie wkrótce będą użyte do reformy, obmyślanej z pewniejszem obliczeniem, zgodnem z potrzebami istotnemi.

W DALI.

Kijów. Tegoroczny jarmark kijowski, tak zwane tradycyjne „kontrakty“ odznaczały się wielkiem ożywieniem, rezultaty zaś są o wiele pomyślniejsze, niż w ciągu kilku lat poprzednich. Obrotów zbożowych, szczególnie pszenicą, uskuteczniono niewiele, gdyż do końca jarmarku wytwórcy nie mogli się porozumieć pod względem cen z kupcami, zwłaszcza młynarzami. Pomimo, że w ostatnich czasach cena mąki podskoczyła o 25 kop. na pudzie, młynarze uważali, że nie mogą płacić za pszenicę więcej, niż po 55 kop. za pud. Ponieważ rolnicy nie chcieli sprzedawać tego produktu taniej, niż po 60 kop., więc umów niewiele zawarto, a i te podpisywali tylko zmuszeni koniecznością. Drugą znamienną cechą kontraktów tegorocznych było rzetelne regulowanie zobowiązań przez ziemian. W wielu wypadkach wierzyciele nie chcieli przyjmować należnych im wypłat i pozostawili gotowiznę u dłużników na dogodniejszych dla nich warunkach. Wobec małego ruchu na rynku zbożowym, spekulacya zwróciła się ku lasom, których sprzedano sporo po wysokich cenach. Np. jeden ze spekulantów nabył w pow. Taraszczeńskim pewną przestrzeń lasu dębowego, budulcowego, na wyrąb po 1,000 rs. za dziesięcinę. Pod koniec jarmarku ustaliły się następujące ceny produktów rolniczych: pszenica gotowa 60—70 k. na miejscu, pszenica z przyszłego zbioru 53—60 k. na miejscu i stosownie do terminu oraz wysokości zadatku; żyto gotowe 40—45 k., z przyszłego zbioru 37—42 k.; rzepak zimowy po 90 k., na stacyi kolei z zadatkiem 15—20 k. na mórg zasiewu; bardzo dużo grochu zakontraktowano po 60—75 k.; bób koński też w dużej ilości około 45 kop.; wyka czarna (na nasienie) 40 k.; len 5% — 90 k., słonecznik 65—75, siemię konopne 90 kop. za pud. Dzierżaw zawarto kilka. O sprzedażach majątków nie było słychać. Podczas kontraktów ukazało się wydawnictwo inż. Tołpygina p. t. „Rocznik cukrowniczy,“ w którym wyszczególniono pracowników w cukrowniach według narodowości. Polaków poświęca się temu zawodowi najwięcej: 648, czyli 41% liczby ogólnej, Rosyan pracuje 326 (20%), Niemców 231 (14%), Żydów 149 (9%), poddanych zagranicznych 208 (13%). Cyfry te oczywiście obejmują pracowników wyższych, wykształconych ogólnie lub fachowo. W roku bieżącym upłynęło sto lat istnienia kontraktów kijowskich. Przez cały wiek zmieniły one niejednokrotnie swój charakter, stosownie do zmiany warunków ekonomicznych i społecznych.

Petersburg. Gazety miejscowe szeroko się rozpisały o sprawie ks. Meszczerskiego, wynikłej skutkiem awantury, urządzonej przez braci Połowcewów za potwarz w druku, zniesławiającą ich ojca. Pp. A. i P. Połowcewowie byli oskarżeni przez księcia Meszczerskiego o obelgi czynne na mocy 135 i 142 ust. o karach, wymierzanych przez sędziów pokoju. Według zeznań pp. Połowcewów pobili oni istotnie księcia M., ten zaś zeznawał, iż tylko usiłowali go pobić, lecz ograniczyli się do „gestów kijem.“ W d. 19 marca, o g. 10-ej rano, sala sądu pokoju dziesiątego rewiru była przepełniona ciekawymi, chociaż względnie tylko niewielkiej liczbie osób udało się dostać do wnętrza. Było tam wielu znajomych obu stron, studentów uniwersytetu, urzędników sądowych i sporo dam. Pojawienie się braci Połowcewów wywołało sensacyę. W imieniu księcia Meszczerskiego stawał adwokat przysięgły N. J. Cholewa. Sędzia przeczytał skargę i, po dokonaniu zwykłych czynności przedwstępnych, zwrócił się do A. Połowcewa z zapytaniem, czy jest winnym tego, iż zamierzył się laską na ks. Meszczerskiego? „Nietylko podniosłem kij, lecz i uderzyłem nim księcia“ — brzmiała odpowiedź. Zapytany w tej samej kwe-

styl P. Połowcew, odrzekł: „Nietylko chciałem bić, lecz i biłem, wprawdzie nie harapnikiem, lecz nahajką.“ Zeznania świadków odznaczały się niejasnością. Mowa adwokata Cholewy niewiele rzuciła światła na całe zajście. Obu winnych skazano na areszt dwutygodniowy.

PRASA ROSYJSKA.

Petersb. Wiedomosti piszą w drugiej korespondencyi z Warszawy:

„W poprzedniej korespondencyi wspomniałem pobieżnie o konieczności bronienia włościanina polskiego przed zgubnym wpływem tego odłamu inteligencyi polskiej, który, nie rozstając się z mrzonkami o urzeczywistnieniu idei jagiellońskiej, usiłuje wszczepić tę ideę w klasę włościańską, aby w chwili stanowczej można było oprzeć się na tej klasie. Zwolennicy tego programu politycznego podsuwają piśmiennemu włościaninowi polskiemu tendencyjne książeczki, wydane za granicą i przewożone tajemnie do Rosyi, a nawet organizują tajemne czytelnie ruchome po siołach i wsiach. Z uwagi, że my nie postaraliśmy się dotąd o zaspokojenie potrzeby czytania, uwydatniającej się coraz silniej wśród włościan, trudno się dziwić, iż młodzież włościańska rzuca się chciwie na książki, usłużnie jej udzielane. Aby złe sparaliżować, powinien rząd jaknajrychlej pomyśleć o urządzeniu bibliotek i czytelni ludowych. Czytelnie te, zdaniem mojem, powinnyby znajdować się przy szkołach elementarnych i w bezpośrednim z niemi być związku. Nauczyciel ludowy może zarządzać czytelnią i wydawać z niej książki do domu. Czytelnia powinna być otwarta w niedziele i święta i mieścić się w pokoju klasowym. Nauczyciel szkoły elementarnej, oddany swym obowiązkom, potrafi zainteresować młodzież włościańską zbiorowem czytaniem, objaśnianiem tego, co się przeczytało itp. Włościanie, którzy ukończyli kurs rosyjskiej szkoły początkowej, zachowają w ten sposób stosunki z tą szkołą i przebywać będą w sferze jej wpływu, który, rzecz jasna, jest dla nas bardziej pożądany, aniżeli wpływ pseudo-patryotów polskich. Nie jestem pedagogiem, nie chcę więc przesądzać, czy włościanin polski będzie czytał książki rosyjskie. W każdym razie trzeba uczynić próbę, a mianowicie założyć czytelnie i biblioteki ludowe w jednym lub kilku powiatach kraju, albo też w kilku gminach, zaopatrzyć je w dostateczną ilość rosyjskich wydawnictw ludowych, takich jednak, któreby mogły zaciekawić włościanina polskiego. Ludowe czasopismo rosyjskie *Biesieda*, wydawane w Warszawie z zupełem zrozumieniem rzeczy i rozchodzące się nawet za granicami Królestwa Polskiego, zajmie wśród tych wydawnictw poczesne miejsce. Gdyby próba się nie powiodła, gdyby się miało pokazać, że włościanin polski nie chce czytać książek rosyjskich, nie należy się tem przerażać, lecz pomyśleć o dostarczeniu czytelniom i bibliotekom polskich wydawnictw ludowych. Wtedy jednak trzebaby koniecznie zawiązać w Warszawie stowarzyszenie wydawnicze pożytecznych książek dla ludu w języku polskim. Istniejące w Warszawie Towarzystwo polskie dobroczynności, rozporządzające znacznymi środkami i utrzymujące w mieście dwadzieścia bezpłatnych czytelni dla rzemieślników, mogłoby przyjść z pomocą w sprawie wydawnictw dla ludu. Nie braknie też osób prywatnych wśród inteligencyi polskiej, pragnących dobra dla młodszej swej braci. W każdym jednak razie na czele nowego stowarzyszenia, czy komisyi, dla wydawania pożytecznych dziełek ludowych, stanąć muszą wytrawni i oddani sprawie rosyanie; tylko pod tym warunkiem spodziewać się można, że wydawnictwa ludowe nie będą miały charakteru tendencyjnego. W Zabużu ruskiem niema potrzeby pozwalać na rozpowszechnianie wydawnictw polskich; tam biblioteki i czytelnie ludowe należy zaopatrywać w książki wyłącznie rosyjskie.“

„Rząd, baczną uwagą na potrzeby włościan polskich i pieczą o polepszenie ich położenia materyalnego, zyskał na swą stronę masy ludowe, które oczywiście bardziej są oddane rządowi, niż inteligencyi polskiej. Należy utrzymać to oddanie się i unikać tego wszystkiego, co może niem zachwiać. Z każdego naszego błędu w tym względzie korzystają wrogowie nasi. Wiedząc, że chłop polski głęboko oddany jest katolicyzmowi, winniśmy unikać narzekań na nietolerancyę religijną, zachowując się ze szczególną ostrożnością w kwestyach, mających związek z religią. Wrogowie istniejącego porządku rzeczy prowadząc tajną propagandę polityczną, lubią się okrywać płaszczem religii i rząd ścigając spisek, zmuszony jest zrywać z niego płaszczyk religijny. W tem właśnie leży cała trudność sytuacyi, gdyż nieukształcona masa włościańska nie może sobie wyobrazić właściwej przyczyny, która wywołała taki lub inny środek rządowy, i gotowa jest nazwać prześladowaniem wiary to, co jest koniecznością państwową. Politycy polscy doskonale to rozumieją i dlatego prasa polska zakordonowa zawsze z takim uporem obwinia rząd rosyjski o prześladowanie katolicyzmu, wiedząc dobrze, że prześladowany jest nie katolicyzm, ale te dążności polityczne, które tak występnie łączone są ze sprawami wiary.“

Nowoje Wremia:

„Podobno opracowywa się projekt zorganizowania w kraju tutejszym bibliotek i czytelni ludowych. Oczywiście trudno nie pragnąć, aby projekt ów został jak najprędzej urzeczywistniony. Piśmienność mało jest rozpowszechniona pośród włościan, chociaż umiejących pisać i czytać po rosyjsku corocznie przybywa, nietyle za sprawą szkół ludowych, ile dzięki służbie wojskowej. Są nawet wypadki, że włościanie tutejsi, nauczywszy się w pułkach czytać i pisać po rosyjsku, piszą w domu listy po polsku, lecz literami rosyjskiemi. Wróciwszy do domu, gdy muszą coś napisać lub zapisać, posiłkują się alfabetem rosyjskim. Niemniej jest dużo wypadków, że włościanin, wróciwszy do domu, zapomina języka rosyjskiego, a to wskutek braku bibliotek rosyjskich i czytelni. Oczywistą jest rzeczą, że organizacya bibliotek i czytelni oddziała pomyślnie na rozwój piśmienności wśród włościan. Lecz jakichże książek zapowiadane biblioteki będą udzielały czytającym? Chcielibyśmy przypuszczać, że rosyjskich. Wogóle włościanie tutejsi nie stronią od języka rosyjskiego. Pojmując to, że jest konieczny, chętnie go się uczą. W Warszawie wychodzą dwie gazety dla ludu: *Zorza* i *Gazeta Świąteczna*. Obie w języku polskim. W gazetach tych niema nigdy ani słowa o tem, że kraj tutejszy wchodzi w skład Rosyi, ani słowa o obowiązkach Polaków, jako poddanych rosyjskich; natomiast są artykuły o Australii, Tunisie itp. Wydawcy nie poczytują za rzecz potrzebną zaznajamiać czytelników z Rosyą. Słowem, dążą do odosobnienia ludności tutejszej od wszystkiego, co rosyjskie; a to samo powiedzieć można o wydawanych w Warszawie polskich książkach i kalendarzach dla ludu. Obecnie otwarcie rosyjskich bibliotek i czytelni ludowych w kraju jest tembardziej pożądanem, że Galicya i Poznańskie dążą bardzo usilnie do oświecenia ludu. Wydaje się tam dużo dzienników, książek i broszur, wzywających chłopa polskiego do wskrzeszenia Polski, i przekonywających o tem, że wówczas nie trzeba będzie płacić żadnych podatków i że chłop będzie równy panu. Ta propaganda zakordonowa przedostaje się do kraju, bo zabronione broszury przychodzą z za granicy. Miejmy nadzieję, że zamierzone biblioteki i czytelnie rosyjskie potrafią walczyć z tą propagandą. Pod wpływem dążeń galicyjsko-poznańskich do oświecania ludu, pośród inteligencyi warszawskiej powstał projekt zorganizowania odczytów ludowych i p. P. wystąpił do władz z prośbą o zatwierdzenie ustawy takiego Towarzystwa. Organizacya w kraju tutejszym odczytów dla ludu jest również pożądaną, jak czytelnie i biblioteki, lecz jedno i drugie winno znajdować się w ręku rządu, nie zaś osób prywatnych, i współdziałać rozpowszechnianiu wśród ludu znajomości języka rosyjskiego i utrwaleniu w ludzie przywiązania do Rosyi.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Stowarzyszenie spożywcze „Nadzieja“ w Dąbrowie Górniczej rozwija się pomyślnie. Dn. 1 stycznia r. b. liczyło 918 członków, tj. 112 więcej, niż przed rokiem, wskutek czego kapitał obrotowy wzrósł do 79,810 (w r. z. 73,154). W ciągu roku sklepy stowarzyszenia sprzedały towarów za rs. 411,852. Dywidenda wyniosła 12%.

— Według telegraficznego sprawozdania austryackiego agenta dyplomatycznego w Rio de Janeiro do ministeryum spraw zagranicznych, stan Parana nie przyjmuje obecnie żadnych emigrantów, a w schroniskach znajdują się tam obecnie 3,000 wychodźców galicyjskich, czekających w części od dwóch miesięcy wśród najgorszych warunków zdrowotnych na wysłanie dalej. Dowieźć ich na miejsca kolonizacyi nie można przed upływem miesiąca, ponieważ przygotowania na przyjęcie w osadach nie prędzej będą ukończone. Przeszło 55 emigrantów z Galicyi, którzy dotarli do Genui, skąd udać się mieli do Brazylii, zatrzymano tam i odesłano do Wiednia, gdzie zamknięto w areszcie policyjnym. W. dziedzińcu więziennym mężczyźni stawili czynny opór, podczas gdy kobiety krzyczały wniebogłosy. Komendant i urzędnicy policyjni starali się ich uspokoić, lecz udało im się to dopiero po aresztowaniu przywódców. Wtedy dopiero wychodźcy poszli do kwater, skąd odesłano ich do Galicyi.

— W austryackiej Izbie deputowanych galicyjski poseł włościański, Potoczek, oświadczył się przeciw przymusowi notaryalnemu i żądał przekazania mniej ważnych sporów gminom a nie sądom pokoju. Poseł Byk żądał reformy ksiąg gruntowych w Galicyi i uskarżał się na obciążenie sądów, domagał się też pomnożenia ich liczby.

— Wieś Czermno w pow. Gostyńskim, ma grunty, ciągnące się pasem długości 4 wiorsty, a niektórzy gospodarze posiadają ziemię aż w 42 kawałkach; racyonalna więc gospodarka jest niemożliwa, a procesy graniczne są na porządku dziennym. Obecnie, za wspólnem porozumieniem, podzielono grunty w ten sposób, że każdy gospodarz ma swoją ziemię w jednej całości. Dla uniknięcia sporu o podział poletków, losowano. Komisya włościańska zatwierdziła [illegible]

Szkoły. Na środki pomocy naukowej dla Instytutu gospodarstwa rolnego w Nowej Aleksandryi przeznaczono 180,070 rs.

— W świeżo otwartej szkole sobieszyńskiej odbyły się egzaminy wstępne. Zgłosiło się 38 kandydatów, z których tylko 24 dopuszczono do egzaminu, gdyż pozostali nie byli odpowiednio przygotowani albo też nie przedstawili dokumentów wymaganych. Zdało zadowalająco tylko 16. Są to przeważnie synowie drobnych rolników, ekonomów; jest paru mieszczan i jeden włościanin. Lekcye rozpoczęły się 23 b. m.

— Przy Towarzystwie technicznem w Kijowie będzie otwarta szkoła fotograficzna. Opłata za cały kurs w dwu ratach wyniesie rs. 35. Wykłady prowadzić będą: fizyki p. Metz, profesor uniwersytetu; chemii p. Łund, laborant uniwersytetu. Praktycznemi zajęciami kierować mają pp.: Wysocki, Kulczenko i Łazowski.

— Mieszkańcy Sielc, pod Warszawą za rogatką belwederską, postanowili otworzyć własną szkołę w Bogucinie. Wszyscy koloniści jednozgodnie nałożyli na siebie podatek w celu utrzymania szkoły i kilku nawet zobowiązało się płacić potrójnie więcej, niż na każdego przypada. Koszt obliczono na sumę 550 rs rocznie.

— W petersburskim Instytucie górniczym słuchacze nie będą przyjmowani na kurs drugi.

Dobroczynność. Zmarła niedawno Amelia z Bronikowskich Załuska, zapisała 5,000 rs. na szpital św. Kazimierza w Radomiu.

Sądy. Według zreformowanej ustawy, wszystkie bez wyjątku sprawy rozstrzygane przez sędziów rewirowych, podlegać będą apelacyi. Instancyą kasacyjną od wyroku sędziów i zjazdów będzie Izba sądowa. W drobnych sprawach kasacya zniesiona. Jako obrońcy dopuszczani są tylko adwokaci przysięgli; ich pomocnicy przez pierwsze dwa lata nie prowadzą spraw; adwokat przysięgły ma tylko trzech pomocników. Rady adwokatów przysięgłych będą

wprowadzone wszędzie. W Tyflisie liczba adwokatów przysięgłych krajowców nie może przewyższać połowy. Przedstawienie o otwarcie w Warszawie rady ostatecznie odrzucono.

Wystawy i zjazdy. Na zjeździe przedstawicieli kolejowych w Petersburgu poruszona będzie sprawa zwiększenia bezpieczeństwa publicznego na drogach żelaznych.

— Wystawa w Niższym Nowogrodzie urzędowo będzie otwarta 31 maja.

— W jednej z remiz warsztatów głównych kolei Wiedeńskiej otwarto tymczasową wystawę przedmiotów, przeznaczonych dla Niższego Nowogrodu.

— We Lwowie otwarto nieustającą wystawę wzorów przemysłu krajowego.

Konkurs. W warszawskiem Towarzystwie muzycznem rozstrzygnięto konkurs na polonez jubileuszowy. Sędziowie uznali, że z 14 nadesłanych kompozycyj, względnie najlepszą jest p. Ignacego Pileckiego, któremu przyznano 150 rs. nagrody z zastrzeżeniem pewnych zmian w instrumentacyi i niektórych zwrotów harmonicznych. Z innych kompozycyj wyróżniono dwie: p. Tadeusza Jotejki i p. Michała Hertza.

Zdrowie publiczne. Po przeniesieniu szkoły technicznej kolei Terespolskiej z Pragi do Sewastopola, w budynku opróżnionym urządzony będzie szpital dla oficyalistów tej drogi.

— Urządzono ambulatoryum chorób kobiecych w szpitalu wolskim, staraniem naczelnego lekarza, dr. F. Sommera. Lekarzem tego zakładu został dr. Jaworski, b. ordynator kliniki terapeutycznej w szpitalu św. Ducha.

— Lekarzy poszukują: miasto Derehczyn w pow. Bialskim, gub. Grodzieńskiej i osada Dobra w gub. Kaliskiej.

Telefony. Warszawskie firmy elektrotechniczne otrzymują liczne zamówienia na urządzenia telefonów do użytku skarbowego. Pomiędzy innemi wprowadzono także komunikacyę w Płocku, Rypinie, Włocławku itp., podpisano umowę z obywatelem gub. Wileńskiej na przeprowadzenie linii, długiej na 53 wiorsty, pomiędzy dobrami a rektyfikacyą, przeznaczoną na użytek monopolu wódczanego. Budowę linii, wymagającej znacznej ilości materyałów, prowadzić będą elektrotechnicy warszawscy.

Zmarli. Antoni Starczewicz, w Zagrzebiu; wybitny działacz polityczny narodu chorwackiego.

— Otto Roquette, w Darmsztadzie; poeta niemiecki.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku **kwartalnym** dokończenie dzieła p. t. **Literatura porównawcza**.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 15 Марта 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8